Uniwersytetu Gdańskiego – Biblioteka
C IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO
KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 12 września 1948 r. | Nr 37 (146)

TREŚĆ NUMERU: A. Krasiński — Pokongresowe notatki; A. Pankowicz — Jeszcze raz pojęcie nauki katolickiej; M. Malina — Sierpień był także w Londynie; St. Podlewski — Próba; Z. Lichniak — Tom przepołowiony wojną; St. Urstein — O zagadnieniach muzyki; W. Bąk — Mielczarkowa; Tydzień kulturalny; W. Pietrzak — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że...

Walenty Majdański

NAKRĘCANIE KONIUNKTURY MORALNEJ

„Święty Ambroży nazywając miłosierdzie szczytem religii chrześcijańskiej, miał na myśli naszą cnotę miłosierdzia"

O. J. Woroniecki

EGZAMIN Z CHRZEŚCIJAŃSTWA

Taki egzamin złoży naród polski w dniach od 3 do 10 października tego roku, bo wtedy „Caritas" urządza „Tydzień Miłosierdzia".

Obecne bowiem przepełnienie kościołów nie świadczy o chrześcijaństwie. To zaledwie nabożeństwa: zadośćuczynienie jednemu Przykazaniu. A życie, A postępowanie katolików? Wszak jednocześnie kwitną choroby weneryczne, pijaństwo, złodziejstwo, nieład małżeński, masowe mordy dzieci nienarodzonych i zbrodnie nad zbrodniami: obojętność na mizerię moralną i materialną.

Wprawdzie siłę Kościoła można rozmaicie mierzyć, tym niemniej najpraktyczniej jest spojrzeć w tym celu na dziedzinę miłosierdzia. Ewangelia bowiem powiada, że podczas sądu nad światem Chrystus zażąda rachunku z tego, czy i na ile świadczyliśmy miłosierdzie, czy i na ile w każdym z cierpiących niedostatek duchowy czy materialny — widzieliśmy Chrystusa potrzebującego. W taki też sposób dokona On również przeglądu czasów dzisiejszych, a więc zapyta przede wszystkim nie o to, ile w latach powojennych wybudowaliśmy świątyń, lub, na jakim poziomie intelektualnym i estetycznym mieliśmy prasę katolicką, ale, ile wykazaliśmy miłosierdzia i na ile, jeśli już chodzi o świątynię i prasę, wychowały te dwa czynniki ogół katolików — do miłosierdzia.

Prześwietlając takim reflektorem jakość katolicyzmu polskiego, nie podobna się nim zachłystywać, jak to czynią niektórzy rodzimi eksperci, bądź goście zagraniczni, zdumiewający się na widok mas wypełniających nasze świątynie. Wszak, na przykład nie mamy diecezji, posiadającej w swym mieście diecezjalnym tyle świątyń, co Kraków, i organu prasowego na takim poziomie, jak krakowski „Tygodnik Powszechny", ale jednocześnie, gdy na jednego księdza przypadało w roku 1946 w Archidiecezji Krakowskiej 1064 wiernych, to w Administracji Apostolskiej Gorzowskiej 3189. Gdy w rok później na jedną parafię w Archidiecezji Krakowskiej wypadało przestrzeni 25 kilometrów kwadratowych, to w Gorzowskiej Administracji 181. Innymi słowy, Archidiecezja, grająca czołową rolę wśród wszystkich diecezyj Polski powojennej i z różnych względów zasługująca na to, nie świadczy miłosierdzia... Administracja Gorzowska nie dzieli się kapłanami z tamtą częścią Ziem Odzyskanych, a raczej podzieliła się, świadczy, lecz czemuż z tak przerażającą chciwością: czemu aż tak skąpo?

WEKSLOWANIE NA TEREN ISTOTNY

Są — powiedzieliśmy — i tacy znawcy spraw religijnych, którym wystarcza „przepełnienie kościołów" i mniej lub więcej taktowne strzyżenie owieczek. I są bliscy im katolicy świeccy, a imię im legion, którzy nie wyobrażają sobie wzrostu osobistego udziału w życiu Kościoła inaczej, jak — przede wszystkim — w postaci częstszego udziału w nabożeństwach, rozgrzeszających się poza tym z moralności chrześcijańskiej, ilekroć im jest to wygodne. Między tłumami świątyń a Przykazaniami Boskimi jest ta zbieżność, że poza świątyniami panuje tłumne odstępstwo od etyki Kościoła. Nastawienie dewocyjne króluje w postawie religijnej Polaka-katolika, tak świeckiego jak księdza. Dlaczego? Bo to wygodne.

Katolicyzm polski miał i ma to do siebie, że ilekroć powstaje z bar łogu, pęcznieje w nim ponad wszystko dewocja. Przynależność do Kościoła obowiązuje u nas do uczęszczania na nabożeństwa — i to niekoniecznie w dzień święty na Mszę — oraz do dawania na tacę... W dodatku: mniej kładzie na tackę, niż się wydaje na papierosy, a nawet, jak na wsi — mniej niż na zapałki.

Lecz ilu z nas obmyśla nowe a skuteczne sposoby do wydobycia z narodu maksimum ludzkiego miłosierdzia.

Rozsadzane tedy od ludzi świątynie, to tylko dowód, jak ogromne możliwości — w porównaniu z innymi narodami — posiada Kościół w Polsce, ale też nic więcej. Toteż zwekslowanie katolicyzmu polskiego z terenu zbyt wyłącznie nabożeństwowego na teren miłosierdzia i przede wszystkim miłosierdzia — byłoby konkretną chrystianizacją rodzimej moralności, byłoby przybiciem barki Kościoła po blisko tysiącletniej wędrówce apostolskiej — na wody krynicznie kościelne: na teren chrześcijańskiej Caritas.

PRZEWODNIA IDEA NADCHODZĄCEGO ŚWIATA

Zdawałoby się, że skoro teren związków zawodowych jest niedostępny, to umieścimy wszystkie energie katolicyzmu w miłosierdziu i służbie rodzinie. Lecz ciężko przychodzi to pojąć nawet oficerom Kościoła: księżom. Ot choćby przykład: jeszcze kilka miesięcy temu nawet na tak poważnej placówce duszpasterskiej jak parafia Zbawiciela w Warszawie nie wznowiono oddziału „Caritas" [1]). A przecież tyle Chrystusa w parafii ile miłosierdzia świadczonego przez kapłanów i wiernych nie tylko w świątyni, lecz i poza nią: bo czymże było życie Chrystusa jak nie akcją miłosierdzia?

A parafia, której na imię Polska? Wypełnia ona wraz szczelniej swe kościoły w niedziele i święta i podczas tych głównie dni wyrzuca na wódkę pięćdziesiąt miliardów. Rocznie. Gdy my, naród katolicki który przecież widzi wśród siebie otchłań nędzy moralnej i materialnej, zamiast przepijać będziemy łożyli 50 miliardów rocznie na „Caritas", parafię imieniem Polska — będzie można nazwać rzymskokatolicką. Aż dotychczas jest to parafia dewocyjna.

Miłosierdzie, to idea centralna na czasy dzisiejsze i najbliższe. Bez miłosierdzia jako idei generalnej może Kościół nawrócić cały świat, tak jak nawrócił całą Polskę, ale będzie to powierzchowne.

Bez miłosierdzia, jako idei panującej w życiu narodów, nie stanie pokój świata, choćby mężowie stanu nic innego nie robili, tylko dzień i noc obradowali. Bez dominującej w postępowaniu cnoty miłosierdzia — nie ma dziś kapłana tylko robot w sutannie. Bez radosnego miłosierdzia — u męża wobec żony i u małżonki wobec męża — nie ma dziś szczęścia małżeńskiego. Bez miłosierdzia nie ma sprawiedliwości, bo czymże jest sprawiedliwość, jak nie urzędowym „przydziałem" miłosierdzia! Bez miłosierdzia nie mamy co liczyć na istnienie Boga: musimy przeto wydobyć z siebie jako naród, jako Polska maksimum miłosierdzia, bo tylko za tę cenę możemy uprosić Opatrzność do polepszenia doli. W tym świetle zbiorowa akcja miłosierdzia całego społeczeństwa, to... powstanie moralne narodu przeciw mizerii losu, to rewolucja ze wszech miar mądra i zawsze skuteczna; to działalność więcej niż patriotyczna i więcej niż błogosławiona: to gromadne, nieustające nabożeństwo narodu do Miłosierdzia Bożego. To trwające w permanencji święto Miłosierdzia Bożego.

ŚWIAT ŚWIADCZEŃ POZA „OKIENKIEM" I USTAWĄ

Lub: świecka strona medalu.

Są typki, co twierdzą, że miłosierdzia nie potrzeba: wystarczy im sprawiedliwość. Ubogie to w wyobrażenie i znajomość życia typy. Łachmaniarze wymagań, chudzi jak piszczele od ascetycznego fanatyzmu. Czyż „sprawiedliwe" państwo Hitlera nie paliło milionów obywateli. A pewną część Żydów co uratowało jak nie miłosierdzie chrześcijan? Ale nawet tak maniackie państwo, które usiłowałoby zaspokoić wszelkie potrzeby obywateli, pozostawiałoby mnóstwo dziur i luk. Urzędnik bowiem, nawet najgorliwszy, nie wystarczy choćby do urzeczywistnienia sprawiedliwości, a gdzieżby wystarczył ludziom do szczęścia? Tak jak choremu nie wystarczy drewniany lekarz: lekarz bez miłosierdzia. A czyż nie zdarza się, że dotknięcie miłosierdzia zamienia zbrodniarza w bohatera?

Dlatego w biurach „Caritasu" nie ma „okienek" i urzędników. Dary dla dzieci rozdaje się rękami rodziców.

Człowiek, aby się czuł dobrze, potrzebuje klimatu spowijającego go nie w samą konkretną pomoc, ale w tkliwość i ciepło. Nawet pies chce czułości. Nie samym chlebem człowiek żyje: żąda też poezji. Konieczne są bardziej bezpośrednie stosunki między obywatelami potrzebującymi a dostarczającymi, niż te... ze sklepów i urzędów. Bez „caritas" uboższe byłoby życie o tony i barwy, nabrzmiałe czułością i najodpowiedniejszą — leczniczo — temperaturą. Nawet w idealnym państwie instytucja „Caritas" uzupełniałaby rządowi ład społeczny, byłaby niejako... bankiem, dokonującym przelewów najdelikatniejszych potrzeb: z serca do serca. Przeto „Caritas", to nie tylko instytucja katolicka, to nade wszystko instytucja ludzka.

„Caritas", to szkoła dla narodu do wyzwalania najwznioślejszej szlachetności, środowisko do uniesień serca. Bez „caritas", bez miłosierdzia, bylibyśmy o wiele mniej wycyzelowani kulturalnie i nieskończenie mniej szczęśliwi. Wszak „największym szczęściem jest czynić drugim dobrze"! A czy mniejszą radością jest otrzymywać pomoc z rąk człowieka, który jest dobry? Narodziny dobrego człowieka w Polsce mogą nadejść przez upowszechnienie miłosierdzia.

I wreszcie, by znów wrócić na płaszczyznę katolicką: „Caritas" to szkoła moralności chrześcijańskiej. Bez niej Kościół, religia Chrystusa, nie... umoralnia. Jest martwy. Wszak dlatego spotykamy tyle... trupów katolickich.

TEGOROCZNE HASŁO

Krajowa centrala „Caritas" wzbogacając nasz Kościół o akcję miłosierdzia, zorganizowaną w oddziałach parafialnych, wysuwa co roku hasła-programy. Obecny „Tydzień" ma hasło „Służmy rodzinie!"

Dlaczego rodzinie? Bo tam jest źle: w fundamentach Kościoła i Państwa. Czy wszędzie? Nic podobnego. Nie brak dziś rodzin tak pięknych, że podobnego zdrowia moralnego nie wykazałyby dawne rodziny. Ale mało takich rodzin. Strasznie mało. Olbrzymia ilość współczesnych małżeństw jest niezdarna: nie potrafi sama znaleźć drogi do szczęścia. Potrzebuje pomocy moralnej i gospodarczej. Nie ma zaś teraz nikogo, tak okropnie opuszczonego i tak szczutego przez nieświadomą rzeczy opinię publiczną, jak matka wielu dzieci i rodzina z wielu dziećmi. A któż podaje rękę krociom dziewcząt, gdy te są w ciąży, a kuszone są zewsząd do przerwania życia dziecku nienarodzonemu: do dzieciobójstwa? Kto wychowuje naszych lekarzy, położne, pielęgniarki — do zdrowej postawy wobec macierzyństwa i do uszanowania każdego życia nienarodzonego? Kto wtajemnicza miliony mężów i żon w sztukę szczęśliwego życia małżeńskiego? Kto wychowuje miliony młodzieży do małżeństwa: do sztuki nieomal całkiem nieznanej dzisiejszym chłopcom i pannom? A innych ileż potrzeb się piętrzy, gdy wejrzeć na stan życia rodzin polskich? Otóż tę potwornie bogatą problematykę pragnie „Caritas" rozwinąć przed ogółem katolików podczas „Tygodnia Miłosierdzia".

ZAKLĘCIE, KTÓRE PROWADZI DO WIELKOŚCI

Gdyby założyć, że nie masz narodu o takim potencjale dobrej woli jak nasz, można by wróżyć Kościołowi, a zatem i instytucji „Caritas" oszałamiające tempo rozwoju. Należałoby by wówczas tylko uświadamiać naród, by potem żądać poziomu chrześcijańskiego w rodzinach i wyzwolić pomoc chrześcijańską dla rodzin. I rzeczywiście: nie masz narodu bardziej podatnego na szlachetne porywy niż polski ale nigdy naród ten nie miał dobrego wychowania. Lecz kto wie czy idea miłosierdzia nie jest tym zaklęciem, które powoła nas znów do wielkości i spowoduje start do biegu o pierwsze miejsce wśród najszlachetniejszych narodów ziemi? O pierwsze miejsce Kościele?

[1]) Wznowiono w marcu r. b.

W kraju

NA zebraniu nauczycielstwa szczecińskiego zorganizowanym przez ZNP z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego 1948-49 min. Skrzeszewski wygłosił dnia 1 września 1948 r. przemówienie, w którym zobrazował wysiłki Rządu zmierzające do podniesienia stanu szkolnictwa w Polsce i upolitycznienia oświaty.

Walny zjazd ZNP w Poznaniu, powstanie organizacji „Służba Polsce" oraz dokonana ostatnio fuzja czterech organizacji w jednolity ideowo Związek Młodzieży Polskiej— oto najważniejsze fakty, które świadczą, że przedpole pracy i walki Rządu zostało opanowane i uporządkowane. Minister Skrzeszewski podkreślił, iż szczególnie ważna rola przypada dziś nauczycielowi wiejskiemu. Łączy się to ściśle z aktualnie najpilniejszym zadaniem Państwa, które zmierza do gospodarczej i społecznej przebudowy wsi. Przebudowa ta ma się zasadzać na wprowadzeniu spółdzielczych form zaopatrzenia, zbytu i produkcji rolnej, przy możliwie najszerszym zastosowaniu maszyn rolniczych i wiedzy biologicznej. Minister widzi ścisły związek między powodzeniem i realizacją tego planu, a ideowym i politycznym uaktywnieniem szeregów nauczycielstwa wiejskiego.

O UPOLITYCZNIENIE OŚWIATY I ADMINISTRACJI

W Turczynku pod Warszawą rozpoczęła obrady 4-dniowe Krajowa Narada Oświatowa Związku Młodzieży Polskiej, zwołana w celu omówienia zagadnień wychowawczych i oświatowych oraz ustalenia planu pracy oświatowej ZMP. W obradach wzięli udział członkowie Głównego Zarządu ZMP, delegaci zarządów wojewódzkich ZMP, przedstawiciele Ministerstwa Oświaty, Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik", Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" oraz Związku Harcerstwa Polskiego.

Sekretarz generalny ZMP poseł Lucjan Motyka przemawiając stwierdził konieczność przeciwdziałania wszelkim szkodliwym metodom nauczania. Aparat nauczycielski zdaniem pos. Motyki nie zawsze spełnia zadanie wychowania młodzieży w nowym duchu.

„Zagadnienia oświaty nie mogą być oderwane od zagadnień politycznych. Nie ma wychowania apolitycznego" zaznaczył mówca kategorycznie.

W podobnym duchu przemawiał poseł Bancerz (PPR) w trakcie obrad Zjazdu Pracowników Państwowych we Wrocławiu.

Niecne praktyki wstecznictwa — stwierdził pos. Bancerz — przybierały różne formy, poczynając od nieróbstwa, siania zamieszania w urzędowaniu, a kończąc na szerzeniu niezadowolenia i nieufności do aparatu państwowego, wśród społeczeństwa oraz na sabotażach.

„Jednym z przejawów tej wrogiej roboty — ciągnął dalej mówca — jest podtrzymywanie poglądów, że aparat administracji państwowej jest apolityczny. Z tym poglądem, jako szkodliwym, musimy zerwać. Należy sobie uświadomić, że aparat administracji państwowej, nie jest i nie może być apolityczny, gdyż za jego pośrednictwem państwo realizuje swą politykę".

AUTORYTATYWNA WYPOWIEDŹ

SEKRETARZ Generalny Stronnictwa Ludowego wicepremier Antoni Korzycki w udzielonym ostatnio wywiadzie prasowym oświadczył co następuje:

„Na wsi rozpuszczane są przez wrogów demokracji ruchu ludowego i pachołków kapitalistycznych niedorzeczne pogłoski, jakoby Rząd chciał zabrać chłopom ziemię i dekretem ogłosić kolektywizację. Są to bzdury, obliczone na otumanienie najciemniejszych, odwrócenie uwagi od wyzyskiwaczy na wsi i zastraszenie rolnika, ażeby go zniechęcić do pracy w swoim gospodarstwie i przeciwstawić klasie robotniczej.

Rząd nikogo nie będzie zmuszał do tworzenia spółdzielni, NKW SL mocno podkreślił, że spółdzielczość produkcyjna, która będzie się rozwijać w przyszłości, będzie absolutnie dobrowolna, będzie powstawać tylko na życzenie samych zainteresowanych chłopów. Stanowisko to podzielają całkowicie partie robotnicze PPR i PPS".

Wysuwając na czoło „Służbę rodzinie" — ład w niej serc i dosyt materialny —sięgnięto nie tylko do fundamentów Kościoła i Państwa lecz do terenu, odpowiadającego jak żaden inny psychice polskiej. Rodzina bowiem to teren, gdzie każdy z nas, jako mąż czy żona, jest wszechwładny: gdzie każdy Polak i Polka cieszy się absolutną wolnością. Tu Polak i Polka — parami — mogą budować własne królestwo szczęścia. Ach, jak wiele tu zależy wyłącznie od uświadomienia i dobrej woli! I — od pomocy bliźnich, co pomóc by tu mogli, chcieli, potrafili! Dlatego nigdzie, jak w rodzinie, nie składa każdy naród, a nasz w szczególności, dowodu, na ile dorósł do samostanowienia o sobie. Tu każdy pokazuje, czy umie wznosić gmach osobistego szczęścia własnymi rękami. Tu, nie w polityce.

Gdyby inteligencja katolicka posiadała pełnię samowiedzy, zmobilizowałyby się w całości na „Tydzień Miłosierdzia", by poprzez szereg imprez przewidzianych na ów „Tydzień", uświadomić sobie i rzeszom, jak teraz po wojnie żyć w rodzinie i służyć rodzinie. A ileż dałoby z siebie w tymże „Tygodniu" duchowieństwo, gdyby świadome było swej roli! Wówczas i proces przestawienia katolicyzmu na szczyty chrześcijaństwa: na tory miłosierdzia (święty Ambroży) odbywałby się poprzez pozostałe dni roku — i odtąd może na stałe — w tempie elektrycznym.

W rodzinie zbawienie Kościoła. W rodzinie zbawienie Polski.

Walenty Majdański

Jerzy Mikke

LIST Z NAD BAŁTYKU

Gdyby w tytule niniejszego felietonu umieścić nazwę Nicei czy St. Moritz — stałby się on od razu dla każdego czytelnika o wiele bardziej atrakcyjny.

Ale polski Bałtyk? Każdy tam może przecież wyjechać i to samo zobaczyć, więc po co jechać?

Chyba dla „wierszówki", lub z grafomańskiej potrzeby?

Wybaczcie mi jednak i „wierszówkę" i „grafomanię" i nawet mało snobistyczny tytuł tego listu, gdyż jednym i najważniejszym z jego tematów będzie właśnie nasz niezrównany, i w każdej konfunkturze wiecznie żywy polski, snobizm. I wybaczając uwierzycie, że pod tym względem nasze polskie Wybrzeże w okresie letnim stanowi naprawdę bajeczny i bezkonkurencyjny teren dla obserwacji tego rodzaju zjawiska.

Nawet w porównaniu z Niceą czy St. Moritz.

***

Sopoty przyjęły mnie wspaniałą, słoneczną pogodą. Toteż do zmierzchu miasto jest wyludnione. Ale za to wieczorem ulice zapełniają się barwnym tłumem wielkomiejskim, który w poszukiwanu stolika w lokalach wędruje bezstrosko to w jedną, to w drugą stronę i tak aż do skutku. Większość letników stanowią jak zwykle warszawiacy, którzy w Grand Hotelu w nocy (noc bywa tu często ważniejsza), a w dzień na rozpalonym piasku nadmorskim, szukają odpoczynku i wytchnienia. — Odpoczynku po defensywnej walce, jaką prowadzą bądź „inicjatorzy prywatni" o domiary z Urzędem Skarbowym, bądź urzędnicy ze swymi szefami o podwyżkę pensji.

I chociaż walka tego typu kończy się zwykle klęską, jednak wrodzona warszawiakom przekora skłania ich do ponawiania coraz to nowych prób nawet najbardziej beznadziejnych w założeniu.

Swoją drogą żywotność warszawiaków budzi we mnie niekłamany podziw bez względu na to czy idzie w parze z wartościami społecznie dodatnimi czy też jest stosowana na wyłącznie osobisty użytek.

A któż to ocenić może lepiej niż ja — rzadki eksponat warszawiaka tragicznego (który tonąc... pióra się chwyta, lecz i to już na krótko, niestety).

I właśnie ta wiara, że „jakoś tam będzie" i ta radość życia jaką emanują z siebie urlopujący na Wybrzeżu warszawiacy, są w takim samym stopniu dowodem witalizmu jak gruby portfel i bogate futro. Zaprzecza on znużeniu, zblazowaniu czy beznadziei.

I chociaż nie wszystko co swoje należy chwalić (o tym za chwilę) a zwłaszcza warszawską bezkonkurencyjną zdolność do improwizacji, o tyle ten tak zupełnie specjalny humor stolicy przeniesiony na grunt obcy, szczególnie pomorski, jej optymizm, jej umiejętność podpatrywania słabostek Olimpu jest czynnikiem społecznie pozytywnym. Te cechy spełniają rolę krzywego zwierciadła, ujawniają sprzeczności, ośmieszają skandale, ostrzegają przed śmiesznością i co najważniejsze, dodają bodźca do nowych wysiłków.

Twierdzę, że humor w Polsce należałoby otoczyć specjalną opieką i ochroną, gdyż jest on wskaźnikiem potencjalnych sił jakże często niewykorzystanych lub dotąd nie docenianych przez socjologów i polityków.

Ponieważ jednak cnoty rzadko chadzają u nas parami, więc oddawszy swym stołecznym rodakom wyrazy uznania, nie mogę sobie odmówić ukłonu w stronę tych, którzy widzą w nich jedynie „szwarccharaktery", lub (i tu nie bez odrobiny racji) — efekciarzy i pozerów.

Tak, nie mogę w sobie zdusić tego chochlika przekory, który nakazuje mi zawsze po wskazaniu w czymkolwiek lub kimkolwiek dodatnich stron, szukać w nim od razu ujemnych i to nieraz w takiej proporcji, że przesłaniają te pierwsze. (Może dzięki tej właściwości niektórzy znajomi z lewej i prawej strony świadomi pozornie moich poglądów politycznych mówią do mnie, „że pan to i diabłu świeczkę i Panu Bogu ogarek").

Aby zatym pozostać wiernym bardziej własnemu chochlikowi niż tej niesłusznie przypisywanej mi zasadzie, wrócę do pierwotnego tematu, t.j. warszawskiego snobizmu.

U mężczyzn (oczywiście poza artystami), występują one na zewnątrz w dawkach umiarkowanych. Przekroczenie granic dopuszczalnych przez zwyczaje, grozi klęską ze strony pań, broniących zazdrośnie swego stanu posiadania. Trzeba bowiem wiedzieć, że kobiety zwłaszcza młode i ładne są w tym samym stopniu bezlitosne dla wszystkich form męskiego snobizmu jak i wyrozumiałe dla siebie. Ostry języczek warszawianek jest tu dostateczną groźbą dla każdego śmiałka, który za jeden gest lub nieopatrznie rzucone słowo, płaci potem długotrwałą goryczą błamażu.

Spróbujcie, a przekonacie się.

Snobizm u kobiet ma podobno swoisty posmak — wprawdzie bawimy się nim, lecz jednocześnie on nas rozbraja, czyni jej posiadaczkę znacznie bliższą, bardziej jeszcze ludzką,— jest przy tym taki niewinny.

Oto przykład. Niedziela, w Grand Hotelu w Sopotach. Tłok, jak w „Kopciuszku". Obok mojego stolika, dwa wspaniałe okazy pań warszawskich. Ładne, wypielęgnowane laleczki. — Ubrane, — Worth by się kłaniał. Tematem oczywiście sukienki.

W pewnym momencie uwagę moją zwróciło wejście na salę większego towarzystwa, złożonego z kilku panów i jednej kobiety. Od pierwszego rzutu oka nie trudno było się zorientować, że są amerykanami. Zauważyłem, że moje sąsiadki odniosły podobne wrażenie. Na rozwiązanie zagadki nie trzeba było zresztą długo czekać. Nowoprzybyłe towarzystwo uplasowało się przy ostatnim wolnym obok nas stoliku i zamówiło w języku angielskim lody i kawę. W chwilę potem stwierdziłem, że ich stolik stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania. W obserwacjach tych było coś wstydliwie barbarzyńskiego. Wyrażały one coś więcej niż zwykłą życzliwość dla cudzoziemców, czy nawet powiedzmy, że zrozumiałą ciekawość — kryła w sobie podziw, i kompleks szacunku jaki „niższa rasa", zwykła okazywać przedstawicielom uprzywilejowanego narodu. Kiedy spojrzałem ponownie na swoje sąsiadki — nie miałem już wątpliwości, że poczynione przed chwilą mało przyjemne spostrzeżenia odpowiadały prawdzie.

Było to tym dziwniejsze, że nasi cudzoziemscy goście zachowywali się hałaśliwie, wybuchając raz po raz młodym żywiołowym śmiechem. (O ile się orientuję powody nie były poważne). Mimo to moje sąsiadki nie miały słów zachwytu. Nawet wtedy, gdy jeden z nich w pewnej chwili poprawiał sobie podwiązkę (autentycznej), podnosząc nawpół obnażoną nogę nie mal na wysokość stolika. — Wpadła mi w uszy pełna szczerej egzaltacji uwaga, — „popatrz Mimi, jaki on ekscentryczny". — Dalszych uwag nie dosłyszałem, gdyż utonęły w nowym wybuchu śmiechu, który zagłuszył całą salę.

W pewnym momencie weszło do lokalu dwóch panów o wyglądzie typowych intelektualistów i rozejrzawszy się przez chwilę po sali, podeszli do amerykańskiego stolika, przy którym zostali przedstawieni dwum nieznajomym osobom, poczym przywitali się serdecznie z pozostałymi rzekomymi amerykanami w języku polskim. Odtąd w tym języku toczyła się niemal przez cały czas dalsza rozmowa. Tylko czasami pan w „podwiązkach" tłumaczył głośno po angielsku autentycznej parze amerykańskiej, (która zachowywała się jeszcze najbardziej powściągliwie z całości), niektóre fragmenty rozmowy z nowoprzybyłymi, zaopatrując je w odpowiednie komentarze. To nieoczekiwane odkrycie spowodowało radykalną zmianę nastroju sali, a szczególnie moich sąsiadek, których obserwacja dawała mi prawdziwe zadowolenie.

Ich oburzenie było teraz równie ekscentryczne, jak dotychczasowa sympatia dla stolika z etykietą „made in U.S.A.". Nic dziwnego, zatem, że cała niechęć zwróciła się przeciwko ekscentrycznemu panu w „skarpetkach", który wyraźnie naraził się swojej niedawnej wielbicielce ponownym, tubalnym chichotem. Śmiech ten musiał brzmieć w jej uszach teraz inaczej, bardziej rodzinnie, gdyż odwracając niecierpliwie głowę rzekła do swej przyjaciółki: „Nie rozumiem, jak można się tak hałaśliwie zachowywać"... Po czym jakby przypominając sobie coś — zmieniła temat: „Wiesz wczoraj spotkałam Lilkę X w nowej sukience z baskinką. Nie masz pojęcia jak okropnie wyglądała. Jej się stale zdaje, że ma 30 lat"...

P.S. Skrzywdziłbym niezmiernie nasze kochane warszawianki, gdybym stwierdził, że one mają jedynie monopol na wyżej omawiany artykuł.

Podobne sugestie wcale nie leżały w moich zamierzeniach. Kto nie wierzy, a chce się przekonać, niech zaczeka do następnego listu. j. mik.

W świecie...

BERLIŃSKIE ODPRĘŻENIE.

NA KONIEC dziewięciokrotne konferencje na Kremlu oraz specjalnie ważne audjencje u Stalina — wydaje się przyniosły jakiś rezultat pozytywny, przynajmniej na odcinku „teoretycznym": po raz pierwszy od pięciu miesięcy, od daty początkowej kryzysu berlińskiego — we wtorek 31 sierpnia zebrali się wszyscy czterej gubernatorzy okupowanych Niemiec. Rozmowa wstępna trwała około godziny i wiadomości prasowe zapowiadają rozmowę drugą, która ma się odbyć w krótkim czasie.

Jednocześnie agencje podały wiadomość o zebraniu konsultacyjnym ekspertów finansowych czterech mocarstw, które miałoby się odbyć jeszcze przed zebraniem gubernatorów. Koła polityczne wprawdzie przezornie przestrzegają przed zbytnim optymizmem, ale równocześnie doniesienia z Moskwy informują, że ambasadorowie uzgodnili już z min. Mołotowem treść komunikatu, który ma zostać ogłoszony w rezultacie rozmów. Oczywiście można się mylić, jak zwykle w prognostykach politycznych, ale sądzić należy, iż istnieje prawdopodobieństwo załagodzenia kryzysu berlińskiego pewnie w niedługim czasie. Inne jest zupełnie pytanie, w jakim stopniu pociągnie to za sobą zmianę całej polityki mocarstw okupacyjnych w stosunku do całych Niemiec? Tutaj mamy do zanotowania najprzeróżniejsze, często nawet sprzeczne, wiadomości. A dokładniej: pozornie sprzeczne. Z jednej strony podane zostało jakoby zwolniono tempo demontażu fabryk niemieckich w strefie brytyjskiej, z drugiej — 1 września jednak rozpoczął się w Bonn przy udziale 60 delegatów krajów niemieckich okupacji zachodnich zjazd polityczny, mający obradować nad przyszłą konstytucją państwa zachodnio-niemieckiego. Jak zawsze przy tego rodzaju imprezach organizowanych na zachodzie Niemiec nie obeszło się bez prowokacyjnych wystąpień anty-polskich. Z jednej strony politycy zachodnio-niemieccy stale i nadal występują przeciw naszej granicy zachodniej. Z drugiej — intelektualiści niemieccy strefy wschodniej swym udziałem we Wrocławskim Kongresie całkowicie afirmowali dzisiejszy stan rzeczy — afirmowali polskość Wrocławia i Szczecina.

NOWY KRYZYS FRANCUSKI.

WE Francji rząd Marie runął z niezwykłym hałasem po 33 dniach swego urzędowania. Był to 10 rząd francuski od wyzwolenia. Upadł wskutek oporu tak pozarządowego — komunistów—jak i wewnętrznorządowego socjalistów i MRP przeciwko planowi Reynauda. Zaczyna powtarzać się tragiczna historia Francji sprzed drugiej wojny, kiedy rządy zmieniały się niemal co kwartał, nie zaskarwalając nikogo, gdyż nawet najlepszy program gospodarczy czy polityczny musi mieć dostatecznie długi okres czasu, by owocować. Niecierpliwość Francuzów pragnących odczuwać natychmiastowe skutki — i to skutki dodatnie — jakiejś polityki gospodarczej czy społecznej, choćby nawet najsłuszniejszej w założeniu — jest niepokojąca i nasuwa doprawdy bardzo niewesołe wnioski o upadku politycznego rozumowania u mas, jak również u demagogicznych polityków francuskich. W tej sytuacji oczywiście żaden rząd nie ma szans powodzenia i nikt się bardzo nie kwapi do podjęcia kłopotliwego spadku. Początkowo wymieniano kandydaturę Mades-France (radykał), potem socjalisty Ramadiera, zatrzymano się dłużej przy premierze sprzed dwu miesięcy: Schumanie, ale — w chwili gdy piszemy te słowa — Schuman otrzymawszy, większością 11 głosów misję tworzenia rządu nie może uzgodnić z socjalistami swego programu gospodarczego. Wreszcie po wielu trudnościach stworzył rząd. Zabawa francuska — „dziwna przygoda polityczna" — trwa nadal.

ZGON A. ŻDANOWA.

DNIA 31 sierpnia zmarł Andrzej Żdanow — sekretarz Centralnego Komitetu WKP(b), jedna z czołowych postaci politycznych tak w ZSRR jak w światowym ruchu komunistycznym. W czasie wojny był zwycięskim obrońcą Leningradu, co zjednało mu wielką popularność. Ostatnio dwukrotnie wymieniano jego nazwisko. Raz jako referenta uchwały CK WKP(b) skierowanej przeciw muzyce modernistycznej. Dwa — jako referenta Deklaracji Biura Informacyjnego skierowanej przeciwko Tito.

Andrzej Krasiński

POKONGRESOWE NOTATKI

Przystępując do spisywania refleksji, jakie nasunęły mi się w czasie obrad Kongresu w Obronie Kultury i Pokoju, zdaję sobie sprawę, że podejmuję zadanie trudne i odpowiedzialne.

Trudne, gdyż parodniowy pobyt we Wrocławiu, który można by przyrównać do jakiejś błyskawicznej podróży dookoła świata, nasuwa wrażenia barwne i oszałamiające, często sprzeczne i chaotyczne, a parę zaledwie dni, które dzieli nas od zakończenia Kongresu nie pozwala na segregację i uporządkowanie wrażeń.

Z drugiej strony zadanie to określiłem jako odpowiedzialne, niewątpliwie bowiem Kongres będący przedmiotem tych rozważań, jest faktem historycznym, którego doniosłość w dużej mierze zależy od dalszego rozwoju zapowiadanej akcji. Od tego, jak skiełkują rzucone myśli i jaki oddźwięk wywołają w świecie, słowem jak przedłuży się życie Kongresu. Dlatego każda próba bardziej generalnej oceny tego wydarzenia jeżeli nie jest przedwczesna, to w każdym razie ryzykowna i niepewna.

Niech mi więc wolno będzie w tych uwagach ograniczyć się do spisania zupełnie osobistych i luźnych impresji; myśli jakie nasunęły mi się w związku z tymi niezwykłymi obradami wybitnych przedstawicieli 45 narodów, tak różnych i tak bardzo od siebie oddalonych.

Mam nadzieję, że uwagi te może w pewnej mierze uzupełnią dokładne sprawozdania z obrad jakie przyniosła prasa codzienna i częściowo przynajmniej odmaluję atmosferę i klimat sali Politechniki Wrocławskiej, która na te parę dni zaludniła się wielojęzycznym tłumem.

Proszę mi darować, że tłumem nazywam zespół wybitnych ludzi, wśród których nie brakowało tak nieokiełzanych indywidualności, jak Picasso. Niewątpliwie jednak zjazd, jako fenomen socjologiczny nie może być uznany za zespół czy sumę odrębnych jednostek. Stanowił on bardzo wyraźną całość, w którą stapiały wszystkich wspólne pragnienia i wspólne dążenia. Znajdowało to wyraz nie tylko w głosach rozbrzmiewających z trybuny, ale co ważniejsze w rozmowach prywatnych i w całej atmosferze odświętnej i entuzjastycznej, która właśnie nasuwa porównanie Kongresu do manifestującego tłumu (bez pejoratywnego sensu tego porównania).

Jakiś zagorzały indywidualista (chyba Anglik) powiedział, że gdyby można było wyobrazić sobie tłum złożony z profesorów uniwersytetu, a ogarnięty zbiorową psychozą, to byłby to zespół zdolny do nieobliczalnych i zupełnie irracjonalnych odruchów i jego zdaniem tłum taki mógłby być groźniejszy od tłumu złożonego nawet z elementów przestępczych. Kongres choć istotnie opanowany zbiorowymi uczuciami nie potwierdził tych równie złowrogich jak naiwnych przypuszczeń. Wprost przeciwnie, w ramach wspólnego poczucia jedności, jaką wyznaczało powszechne pragnienie pokoju, w tych szerokich ramach do głosu dochodziły indywidualne postawy i indywidualne sformułowania, jako konsekwencje różnych tradycji i różnych temperamentów. Prawda jednak, że uczestnikami obrad byli w większości ludzie podobnie radykalnej postawy społecznej.

Wśród szerokiej problematyki Kongresu może najbardziej wyraźnie właśnie chyba dzięki odległości i nowości, rysuje się zagadnienie kolonializmu. Długa lista mówców z krajów znanych zaledwie z nazwy odmalowała ten problem w sposób sugestywny i poruszający, stawiając zdecydowane oskarżenie przeciwko wszystkim imperiom kolonialnym i przedstawiając opłakane warunki egzystencji i rozwoju kulturalnego w jakich ich narody się znajdują. Ten sam głos pochodzący z różnych części świata ujawnia i demaskuje zasadniczą sprzeczność, która pozwala ludziom i państwom całym stosować dwie różne moralności, ograniczać nakazy ideałów chrześcijańskich do wąskiego kręgu swego kraju, do kręgu ludzi o podobnym kolorze skóry.

Nie ma tu miejsca, aby ten problem bądź co bądź od nas odległy, omówić szerzej. Chciałbym tylko podkreślić, że postawienie sprawy polityki kolonialnej, przypomniało wszystkim, że jeśli mówi się o wolności, to trzeba jak najszerzej patrzeć, a jeśli się mówi o dobrobycie, to trzeba zadać sobie pytanie czyim kosztem jest on osiągnięty.

Dzieląc się refleksjami z Kongresu z czytelnikami „Dziś i Jutro" trudno pominąć znaną ze sprawozdań prasy wypowiedź księdza Boulier. Obawiam się że wielu katolików polskich, czytając tę zdecydowaną wypowiedź zachowuje rezerwę. Być może nie jeden sceptycznie wzrusza ramionami mówiąc w duchu „taki to i ksiądz".

Pośpieszam rozwiać te wątpliwości i zapewnić, że już krótka rozmowa z nim upewnia, że ma się przed sobą gorliwego kapłana, który przy ogromnie radykalnych poglądach społecznych równocześnie obdarzony jest wzbudzającym szacunek duchem apostolstwa i odwagą swych przekonań.

Ksiądz Boulier lekceważy niejako a raczej pomija sprawę zasadniczych różnic światopoglądowych, dzielących katolicyzm i marksizm. Twierdząc przy tym, iż w istocie istnieje daleko głębsza sprzeczność między światopoglądem katolickim, a rzeczywistością społeczną wytworzoną przez ustrój liberalno-kapitalistyczny. Uważa on, za sprawę w tej chwili najpilniejszą i największej wagi, a decydującą o przyszłości świata rozwiązanie zagadnienia życia katolików i swobodnego rozwoju myśli katolickiej w społeczeństwach socjalistycznych, rozwiązanie tego zagadnienia przede wszystkim w płaszczyźnie praktycznej. Stanowisko to zasługiwałoby na dyskusję i krytykę w świetle nauki Kościoła. Na tym miejscu trzeba tylko podkreślić, że dobrze się stało, że na Kongresie Pokoju ten problem został postawiony.

Kongres Wrocławski będący niewątpliwie wielką manifestacją jedności ujawnił również pewne różnice zdań. Jeżeli o tych różnicach chcę szerzej pomówić, to bynajmniej nie przez przekorę. Wydaje mi się, że ich istota, głębokość i widoki na ich przezwyciężenie są sprawą niezmiernej wagi dla całego świata, a dla Europy w szczególności. Dlatego przeprowadzenie analizy i porównania skrajnych stanowisk, w wypowiedziach członków delegacji radzieckiej i angielskiej jest pożyteczne. Ta wymiana zdań stanowiła tylko drobny epizod Kongresu, mimo to jednak dla nas, którzy nie tylko geograficznie znajdujemy się po środku skrajnych stanowisk, jest ona szczególnie interesująca.

Bardzo ostra zarówno co do treści jak i formy wypowiedź Aleksandra Fadiejewa z delegacji radzieckiej spotkała się z krytyką, która znalazła wyraz w wypowiedziach paru mówców, w szczególności w słowach profesora A. J. Taylora. Wypowiedź pisarza rosyjskiego zna mionowała nuta polityczna, bezkompromisowość, szczerość, a nawet pewna brutalność w rozstrzyganiu skomplikowanych zagadnień. Fadiejew nie ulega czarowi autorytetów i nie waha się najbardziej ostro zaatakować ludzi o odmiennym zdaniu, choćby to były takie wielkości jak Malreau czy Eliot.

Ta prostolinijność i szczerość nie została doceniona i spotkała się ze ze sprzeciwem u wielu ludzi wychowanych w kulcie tolerancji.

Byłoby wielkim uproszczeniem sprowadzać kwestię omawianej różnicy zdań do sprawy formy zewnętrznej, do tzw. dobrego wychowania w mieszczańskim zrozumieniu tego słowa.

To, co przeciwstawiono twardym i prostym słowom delegatów radzieckich, było dobrze znanym i wspominanym z rozczuleniem stanowiskiem liberalistycznym. I chociaż być może prof. Taylor oburzył by się, gdyby go posądzono o apostolstwo sformułowanej jeszcze w XVIII wieku doktryny Adama Smith'a, trudno zaprzeczyć, że tradycja tej szkoły w sposób decydujący zaważyła na jego opiniach i przekonaniach.

Bilans liberalizmu jest dziś stosunkowo łatwy do przeprowadzenia bo rachunek dobiega końca. Po stronie „ma" zapiszemy to wszystko, co dał ludzkości: niebywały rozwój nauki i techniki, to, że był szkołą samodzielnego myślenia, dzięki której myśl ludzka wzniosła się na nieznaną przedtem wysokość. Nie można jednak zapominać o passywach, o innych owocach liberalizmu, które ściągnęły na ludzkość współczesną morze cierpień i niedostatków. Niewątpliwie bowiem stworzył on klimat, w którym pod osłoną pięknych haseł wolnościowych swobodnie mógł dojrzewać ucisk i tyrania zarówno indywidualna jak i zbiorowa.

Słabą stroną wszystkich obrońców liberalizmu jest to, że nie mówią w jaki sposób ideałom wolności zapewnić siłę obronną, w jaki sposób zapewnić im trwałość, a nade wszystko powszechność.

Zagadnienie to, zagadnienie ocalenia, przechowania i przystosowania do nowych czasów dodatniego spadku po epoce liberalizmu, jest zagadnieniem największej wagi dla tych wszystkich jednostek i narodów, dla których wolność nie była tylko celem walki odległym i wymarzonym, ale dla których rysowała się konkretnie, jako rzeczywistość bliska i uchwytna.

Doprawdy nie można chyba mówić o jakiejś wolności jednej i absolutnej. Każdy człowiek i naród każdy posiada swój ideał wolności, która zamyka się w granicach jego aspiracji. Byłoby błędem starać się te ideały wartościować i mówić czyja jest lepsza.

Może wydawać się dziwne, że w tych rozważaniach tyle miejsca poświęcam sprawie, która tylko pośrednio łączy się ze sprawą pokoju.

Trzeba było wysłuchać te nie kończące się szeregi mówców przedstawiających swoje żale i niewolę swoich narodów.

Trzeba było pomówić z delegatami Stanów Zjednoczonych i dowiedzieć się, że większość z nich lęka się powrotu do swej ojczyzny oczekując szykan i utrudnień za to tylko, że wzięli udział w Kongresie.

Trzeba uprzytomnić sobie te ogromne trudności, na jakie napotyka rozwój wolności na świecie i jak często cofa się zamiast postępować naprzód. Wtedy dopiero rysuje się wyraźnie złowroga rola wojny, która nie tylko sieje śmierć i cierpienie, ale również przyczynia się do ograniczenia wolności nawet narodów zwycięskich.

Jestem daleki od złudzeń, że zdecydowana i jednomyślna bez mała postawa Kongresu intelektualistów przesądzi o pokoju światowym. Mimo to jednak jestem przekonany o niezmiernie ważnej doniosłości tego wydarzenia. Jeżeli mówiłem o różnicach zdań, to dlatego tylko, aby podkreślić znaczenie osiągniętego porozumienia, które oznacza możność przedłużenia się życia Kongresu i może umożliwić współpracę i wzajemne oddziaływanie intelektualistów różnych, dotychczas izolowanych światów. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę, że delegaci niejednokrotnie reprezentowali tylko pewne grupy swych narodów, a prawie nigdy nie reprezentowali państw. Być może siły zewnętrzne przekreślają nadzieje i zniweczą początek dorobku. To jednak, co w tej chwili zapowiada się i co już zostało zrobione w postaci fundamentu przedstawia realny dorobek.

Przyjemnie jest stwierdzić, że zostało to osiągnięte dzięki Polsce i Polakom. Rola ta nie ograniczyła się tylko do gościnności i do trudu organizacji. Dzięki postawie naszej delegacji, dzięki jej aktywności osiągnięto porozumienie.

Nie tylko urośliśmy w oczach Europy, ale również zbliżyliśmy się do niej.

Teraźniejszość i przyszłość obok nowych zupełnie zadań, stawiają przed naszym pokoleniem trud przechowania i przystosowania i rozszerzenia tradycji i dorobku Europy, wśród nich wielu ideałów takich jak wolność i tolerancja, które wraz z minioną epoką wydają się bankrutować.

Trud ten jest zbyt wielki na barki pojedyńczych ludzi i pojedyńczych narodów.

Chociaż sądzę, że nie dość wysiłków podejmuje się u nas w tym kierunku, jestem przekonany, że Kongres Wrocławski jest poważnym krokiem na tej drodze. Kraj nasz dzięki inicjatywie, przeprowadzeniu i roli jaką odegrał, dobrze się zasłużył kulturze i pokojowi świata.

Andrzej Krasiński

Adam Pankowicz

Jeszcze raz pojęcie nauki katolickiej

Interesujący artykuł p. J. P. Gawlika pt. „Nauka katolicka" w numerze 33 „Dziś i Jutro" przyjąłem z zadowoleniem, jako dowód zainteresowania poruszonym przeze mnie, („Dziś i Jutro" nr 29) a tak istotnym zagadnieniem pojęcia nauki katolickiej. Należałoby mieć nadzieję na sprecyzowanie w rzeczowej wymianie zdań tego cennego pojęcia.

Niestety jednak p. J. P. Gawlik zdaje się nie dostrzegać rozmiarów kryzysu, do którego — powiedzmy otwarcie — doprowadziło ludzkość traktowanie nauki jako dziedziny działalności, w całokształcie swym nie kontrolowanej żadnymi normami moralnymi. W konsekwencji przechodzi lekko do porządku dziennego nad niewspółmiernością rozwoju nauki do procesów społecznej świadomości i przystosowania. W wypowiedzi tej przejawia się w wysokim stopniu duch skrajnego indywidualizmu, lansującego hasło: „Laissez faire, — laissez passer".

Zgodnie z tym założeniem, p. J. P. Gawlik stara się udowodnić, że odnoszenie działalności naukowej do jakiegokolwiek zespołu norm, wynikających z przyjęcia określonego światopoglądu, jest

a) niemożliwe

b) społecznie niecelowe, a z punktu widzenia rozwoju nauki wręcz szkodliwe.

Przypuszczać można, że p. J. P. Gawlik nie zadał sobie trudu poznania i przemyślenia literatury zagadnienia, choćby tylko w najskromniejszym zakresie jaki zacytowałem w n-rze 29 „Dziś i Jutro", rozwija bowiem dyskusję na płaszczyźnie czysto formalnej. W polemice z realnymi i rzekomymi niedociągnięciami metodologicznymi nie znać próby, czy bodaj intencji „wgryzienia się" w meritum sprawy.

Pomijając już okoliczność, że hasło **bezwzględnej** autonomii nauki nie wytrzymało, jak dziś widzimy, próby historii i stało się anachronizmem, zauważyć trzeba, że jest ono także i praktycznie bardzo ryzykowne. Zrywanie czy nienawiązywanie nici, łączących działalność naukową z filozoficznymi założeniami światopoglądu, musi stworzyć wokół intelektualisty-katolika niebezpieczną próżnię, tym groźniejszą, że materializm w nauce zwraca baczną uwagę na korelacje jej osiągnięć z tezami swej filozofii.

Wykazanie niemożliwości takiej korelacji między nauką a światopoglądem katolickim stara się p. J. P. Gawlik osiągnąć przez reductio ad absurdum mojej tezy o stosunku wiary i rozumu w dziedzinie nauk nomotetycznych, i stawia jako przykład matematykę i przyrodoznawstwo. (Pomijam już metodologiczne pomieszanie nauk formalnych i materialnych).

Jednakowoż ta reductio ad absurdum, którą p. J. P. Gawlik uważa za tak oczywistą, że jej bliżej nie uzasadnia, jest merytorycznie wadliwą i to właśnie w zakresie cytowanego przyrodoznawstwa: przez długi czas, aż do lat ostatnich przyjęta za obowiązującą mechanistyczna koncepcja świata coraz bardziej stanowczo rugowała pojęcie Boga osobowego; czy nie była więc „fizyką ateistyczną"?[1]). Nie wpadajmy jednak w przeciwną krańcowość: jedynym warunkiem „katolickości" (najszerzej pojętej) nauki nomotetycznej jest jej **niesprzeczność** z zasadami wiary. Na-

[1]) Nie będąc w tej dziedzinie fachowcem, odsyłam ciekawych do literatury. Godną uwagi pozycję stanowi tu broszura Dr E. Ostachowskiego „Współczesne przyrodoznawstwo, a kultura religijna". (Kraków, 1947, Ks. Św. Krzyża).

tomiast forsowne doszukiwanie się w wynikach nauki dowodów prawdziwości dogmatów, tak często i bardzo kuszące katolickich intelektualistów, wydaje mi się niepotrzebne, i wobec ograniczoności rozumu ludzkiego pozbawione głębszego sensu.

Odnośnie oceny wyników nauki, p. J. P. Gawlik dość niejasno odróżnia ich wartość obiektywną od wartości społecznej. Jako wyłączny miernik wartości obiektywnej przyjmuje krytykę metodologiczną. Ten pogląd, nacechowany jak gdyby przeświadczeniem o doskonałości rozumu ludzkiego, wydaje mi się również anachronizmem. Świadomość ułomności ludzkiego poznania jest w świecie dzisiejszej nauki powszechna i wyraża się różnymi, mniej lub więcej pesymistycznymi postawami. Z pośród tych postaw dla nas jest do przyjęcia postawa tzw. relacjonizmu, głoszącego, że wszelka wiedza ludzka wobec absolutnej prawdy jest zawsze względna i raczej się do tej prawdy odnosi, niż ją wyraża. Wobec tego ani z „czysto naukowego" ani z „czysto katolickiego" stanowiska nie widzę argumentu, wykluczającego przyjęcie jako ostatecznych ponadnaukowych mierników prawd, objawionych wierzącej ludzkości przez Najwyższy Autorytet. Zacytowanie przez p. J. P. Gawlika fragmentu artykułu księdza J. Salamuchy wydaje mi się dosłownym, a bez należytego uzasadnienia przyjęciem obrazu, bądź co bądź, literackiego. „Comparaison n'est pas raison". Rzekomą metodologiczną przepaść między teologią i filozofią, a naukami szczegółowymi i niemożność umieszczenia ich na wspólnej płaszczyźnie uważam, przy całym szacunku dla autorytetu ks. Salamuchy, za niedość w tym artykule udowodnioną.

Drugim zasadniczym punktem wypowiedzi p. J. P. Gawlika jest zakwestionowanie celowości i użyteczności społecznej odnoszenia działalności naukowej do światopoglądu.

Argumentując przeciw „normie pozytywnej" nauki, pisze p. J. P. Gawlik m. in.: „Podsuwanie tego a nie innego zagadnienia... może wpłynąć ujemnie na „pasję poznawczą" danej jednostki, która jest jednym z warunków optymalnej pracy umysłowej. Ludzie tworzący nowe wartości powinni cieszyć się całkowitą wolnością w swojej pracy, a dopiero inni mogą przetwarzać wyniki ich „czystej nauki" na „naukę stosowaną".

Tu zaznacza się podstawowa różnica zdań: p. J. P. Gawlik zdaje się uważać za jedyny motor rozwoju nauki czystą, bezinteresowną „pasję poznawczą". Moim zaś zdaniem, czynnikiem inspirującym, co najmniej równoważnym, jest tendencja do praktycznego doskonalenia wszelkich dziedzin życia. Jako dowód historyczny służyć może coraz powszechniejsze i ściślejsze wiązanie się w ciągu ostatniego półwiecza zakładów naukowo-badawczych z zakładami wytwórczymi.

Po drugie, podział nauki na „czystą" i „stosowaną" jest dzisiaj już podziałem teoretycznym, sztucznym. Praktycznie bowiem, jak wspomniałem w poprzednim artykule, dyscypliny teoretyczne i „stosowane" coraz bardziej integralnie stapiają się w jeden całokształt współczesnej nauki, czego przy żadnych rozważaniach naukoznawczych nie można tracić z oczu.

Pod tym kątem widzenia bezwzględna autonomia w doborze przedmiotu nauki nie da się utrzymać.

Z zasadą negatywnej (kontrolującej) normy światopoglądowej nauki polemizuje p. J. P. Gawlik tak: „Światopoglądy, które nagina ją wyniki nauki i uzurpują sobie jej kontrolę są systemami albo chylącymi się ku upadkowi, albo narzuconymi siłą. Oba te wypadki w stosunku do katolicyzmu nie mają miejsca, wobec czego teza... ...wydaje się tym bardziej dziwna". Zgadzam się ze słusznością tego zdania, tylko... cios wymierzony został w powietrze. Katolicyzm bowiem wyników nauki w żadnym wypadku nie nagina, ustalając jedynie ich zgodność czy sprzeczność ze swymi podstawowymi założeniami, jak wyżej wspomniałem. Co do kontroli zaś, to „uzurpować" jej sobie katolicyzm nie może i nie potrzebuje, ponieważ w podanym powyżej sensie wynika ona z uniwersalistycznego założenia, które jest zawarte w pojęciu „katolicki". Pojęcia tego, jak się zdaje, nie kwestionujemy.

Rzekomą szkodliwość społeczną nawiązania nauki (traktowanej jako całość) do światopoglądu stara się p. J. P. Gawlik uzasadnić następująco: ...filisterski katolik, stwierdziwszy taką sprzeczność (wyników nauki z wiarą i jej konsekwencjami) odrzuci naukę mając wyższą preferencję światopoglądu, czyli, że światopogląd będzie dla niego wartością nadrzędną nad naukową i jej wynikami, wartością wyższą, istotniejszą, a zarazem można będzie dla światopoglądu zrezygnować z wyników badań naukowych".

Określeniem „filisterski katolik" przestawił p. J. P. Gawlik sprawę na zupełnie niewłaściwą płaszczyznę. Rozważamy bowiem niewątpliwie postawę intelektualistów i naukowców, której zaprzeczeniem właśnie jest zbiór cech, określających filistra. Śmiem twierdzić, że naukowiec z prawdziwego zdarzenia, stojący zdecydowanie na stanowisku katolickim, jeżeli stwierdzi rozbieżność wyników swej pracy z doktryną katolicką, nie zapali w piecu swymi notatkami i nie pogrąży się w intelektualną drzemkę, ani w czarną rozpacz niewiary. Uzna natomiast, że w jego rozumowaniu tkwi jakiś błąd i przystąpi do jego uczciwej metodologicznej rewizji.

Kruchość argumentacji p. J. P. Gawlika w tym zakresie wykazuje doświadczenie dziejowe: możemy z historii nauki wybrać długą listę ludzi o pierwszoplanowych pozycjach, podkreślających niesprzeczność co najmniej swej nauki ze swą wiarą. Gdziekolwiek i kiedykolwiek natomiast występował wśród sfer kulturalnych społeczeństw filisterski, antyintelektualistyczny fideizm, był on zawsze zjawiskiem chorobliwym i symptomem spadku prawdziwie katolickiego ducha w tych sferach.

Tak więc dwie zasadnicze tezy wypowiedzi p. J. P. Gawlika wydają mi się co najmniej niedostatecznie umotywowane.

Polemikę utrudnia okoliczność, że p. J. P. Gawlik, prowadząc dyskusję na płaszczyźnie formalno-metodologicznej nie ustrzegł się sam potknięć w tym właśnie względzie. Najpoważniejsze z nich stanowi sąd, jakobym „pomieszał nauki społeczne z polityką społeczną". Polityka społeczna, traktowana jako teoretyczna umiejętność (w odróżnieniu od praktycznej czynności) normowania stosunków w społeczeństwach, stanowi odrębną gałąź nauki, reprezentowaną przez specjalną literaturę[2]). Odmawiając jej tej rangi, niesłusznie degradowaliśmy ważną gałąź dyscyplin normatywno - teleologicznych.

Dziwne też wydaje się, że p. J. P. Gawlik, zwalczając zasadniczo moje tezy w toku swej wypowiedzi, przyjmuje na koniec w brzmieniu niemal dosłownym jedną z dwu proponowanych przeze mnie definicji nauki katolickiej, do której np. jako zbyt ciasnej, osobiście przywiązuję mniejszą wagę.

Poza tym w dwóch wypadkach zbyt pochopnie operuje p. J. P. Gawlik terminem „oczywistości" (rzekoma „reductio ad absurdum" i rzekome „pomieszanie" nauk społecznych z polityką społeczną). Może to robić wrażenie sugestii, obliczonej na powstrzymanie czytelnika od samodzielnego przemyślenia sprawy. Nie posądzam p. J. P. Gawlika o chęć łatwego sukcesu polemicznego metodą „wykończenia" przeciwnika wobec publiczności. Ponieważ jednak „chwyty" takie mogą wywierać wrażenie osobistej napastliwości, zwracam na nie uwagę dla oczyszczenia atmosfery dyskusji.

Adam Pankowicz

[2]) Przykładowo podaję: w jęz. polskim: Dr Stefan Grzybowski „Polityka społeczna" (Kraków, 1948), w jęz. niemieckim: Dr Th. Weddigen „Sozialpolitik".

Mieczysław Malina

Sierpień był także w Londynie...

Poniżej drukujemy wypowiedź Mieczysława Maliny opartą o wspomnienia z Londynu, w okresie powstania warszawskiego.

Poglądy Autora, będącego wówczas członkiem grupki niezależnych marksistów, przebywających na emigracji, są rzecz prosta, w wielu punktach sprzeczne ze stanowiskiem redakcji. Podajemy je naszym czytelnikom jedynie jako przyczynek do tworzenia pełnego obrazu nastrojów w czasie „wielkiego dramatu" poza granicami kraju.

REDAKCJA

Ciężko, bo ciężko było żyć i czekać i w ogóle coś robić w bezpiecznym, sytym, wygodnym, komfortowym Londynie w tych latach 1940—44. Naloty niemieckie na dzielnice doków i niektóre ośrodki przemysłowe i komunikacyjne, później figlarne i szybko unieszkodliwione V-1, a wreszcie potężne i groźne, ale nieliczne i ślepo padające V-2 przypominały wprawdzie od czasu do czasu, że i my także jesteśmy na jakimś odcinku tego frontu, na którym dzień w dzień przez długie lata walczą, giną, marnieją w nieludzkich mękach setki tysięcy rodaków.

I czymże były nasze wysiłki i „akcje" wobec tego, co się działo w kraju? Czym mogły w ogóle zaważyć w grze politycznej wielkich mocarstw, dla których „sprawa polska" stała się znowu przedmiotem targów i to targów trzeciorzędnej wagi?

Czymże była nasza — pożal się Boże — „podziemna" walka z rządem emigracyjnym, z której sami musieliśmy się śmiać nazywając ją Underground-Action, czyli Akcją Kolejki Podziemnej? Walka z niedobitkami sanacji i nowoupieczoną pseudo-demokracją polską, walka której patronowała cicho angielska konserwa, której błogosławił sam Churchill, bo przecież biedak tak bardzo pragnął odczepić się jakoś przyzwoicie od niewygodnego sojuszu...

Przyszedł sierpień 44-go. Wiadomości o Powstaniu Warszawskim były — jak wszystkie inne z kraju — skąpe, tendencyjne, sprzeczne. Jednak każdy co nosił w sobie choć kruszynę Polski wyczuł od razu co się stało i dlaczego się stało. Duszna atmosfera emigracyjna była wtedy nie do zniesienia. W tym dobrobycie i dosycie, wśród małostkowych ambicyj i drobnych gierek, dławiła i dusiła jak w lagrze. (Wybaczcie to mizerne porównanie, coście byli w obozach i więzieniach!). Nie wiadomo już było czego się chwycić. Jakiś czynnik miarodajny z Ministerstwa Informacji i Dokumentacji wpadł na pomysł, aby przez radio brytyjskie nadawać „Z dymem pożarów"... To jest powszechnie znane. Ale popełniano wtedy jeszcze inne wyczyny propagandowe, które może warto dziś przypomnieć.

Na murach Londynu pojawiły się dwa polskie plakaty: Na jednym widać było postać Chrystusa niosącego krzyż, który opuszcza płonące miasto — i wielkie czerwone litery: „Warsaw — August 1944". Na drugim ranny żołnierz, upadając, wypuszczał karabin z ręki. Choć stosunki dyplomatyczne naszej grupki opozycyjnej były dawno zerwane z Rubensem i Stratton-Housem, pewien mój towarzysz nie wytrzymał i rąbnął do Ministerstwa Informacji, Dokumentacji i Insynuacji mało dyplomatyczną notę takiej mniej więcej treści: „Czyście już do cna zbaranieli? Róbcie sobie co chcecie, bo i tak nic już nie zrobicie, ale przynajmniej nie ośmieszajcie walczącej Warszawy! Plakaty zrozumiałe tylko dla polskich mesjanistów rozlepiacie na Picadilly Circus wśród tłumu rozbawionych żołnierzy amerykańskich i angielskich girls'ów, na Victoria Station w międzynarodowym tłoku spieszących się podróżnych wszystkich narodów zjednoczonych i na całej tej londyńskiej ulicy już pełnej radości w oczekiwaniu bliskiego zwycięstwa. Jakiż londyńczyk może sympatyzować z **taką** Warszawą? Jeżeli mają już koniecznie być plakaty, to macie temat: „Dziennik Polski i "Dziennik Żołnierza" dziś przedrukował wiersz nadany z Warszawy:

„Choć my tu na mogile lecz czapki na bakier,

Tu u nas nikt nie płacze w walczącej Warszawie...

— — — — — — —
— — — — — — —

A wy tam wciąż śpiewacie, że z kurzem krwi bratniej

I że z dymem pożarów nisz czeje Warszawa —

A my tu nagą piersią na strzały armatnie,

I śmiechem na wasz podziw i na wasze brawa.

Czemu w dalekich stronach śpiewacie w Londynie,

Kiedy nastało dla nas upragnione święto —

U boku chłopców swoich walczą tu dziewczęta

I małe dzieci walczą — krew radośnie płynie..."

— — — — — — —
— — — — — — —

Oto Warszawa sama daje wam temat pod wasze plakaty. W ten sposób walcząca ulica Warszawy piorunem mogłaby trafić do serca ulicy londyńskiej..." i t. d.

Ministerstwo rzecz jasna nie zareagowało, ale Komitet, który podpisywał jako wydawca tych afiszy i otrzymał także kopię tejże noty — o dziwo! — odpowiedział, że owszem, że macie bardzo dużo racji, ale „nie mogliśmy przecież narzucać artyście tematu". Oto argument Komitetu odpowiedzialnego za urzędową propagandę!

Zbieraliśmy się wtedy, maleńka grupa bezkompromisowych opozycjonistów wobec „rządu" londyńskiego w Stowarzyszeniu Polskim na Camden Town, w północnej robotniczej dzielnicy Londynu. Rej wodził ów znany ze swej obrotności dziennikarz, o którym mówiono, że łączy przemyślność sowy z drapieżnością jastrzębia. Przychodził tam także pewien dzielny marynarz, który jest dziś posłem na Sejm, i inny pracownik morza, który później gdzieś się zawieruszył, i majster-metalowiec z konieczności, a z fachu wielce uczony doktór zasiadający dziś w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, i potężnej tuszy mecenas, który także samo gniecie dziś fotel na Daszyńskiego, i nasza ruda eminencja, która jest dziś „szarą" w jednej z wielkich ambasad, i kilku innych. Było to zjednoczenie różnorakiego autoramentu i dyskusje bywały burzliwe. Wtedy to na jednym z tych zebrań padło pierwszy raz określenie „polityka na wyrost".

Z niemałym zdziwieniem spotkaliśmy to samo określenie w wstępnym artykule Nr 31 „Dziś i Jutro", poświęconemu pamięci Powstania Warszawskiego. Jakież nieporozumienie! „Polityka na wyrost" była i jest nadal najskrajniejszym przeciwieństwem londyńskiej emigracyjnej koncepcji, jest zupełnym jej zaprzeczeniem i najbardziej szczerym, bo datującym z przed września 1939, potępieniem mitu polskiej „mocarstwowości" i polskiej „samowystarczalności". Pomyłka jaka przytrafiła się publicyście z „Dziś i Jutro" pochodzi stąd, że istotnie biegun dodatni jest bardzo „podobny" do bieguna ujemnego, ale nigdy nie był i być nie może jego „kontynuacją".

Nieporozumienia tego rodzaju są u nas, jak we wszystkich krajach, nader częste w dzisiejszym przejściowym i przełomowym okresie i tak być musi kiedy jesteśmy świadkami i aktorami nowego rodzącego się świata, nowych zupełnie koncepcyj politycznych, opartych o nowe i nadal gwałtownie zmieniające się warunki życia, zarówno techniczne i gospodarcze, jak społeczne.

Wprawdzie mędrcy uśmiechają się sceptycznie, boć oni tak dobrze wiedzą, że wszystko już było i że nie ma nic nowego pod słońcem.

Czy aby tylko nic radykalnie i zupełnie nowego nie przytrafiło się Europie, Polsce i naszej planecie w tym ostatnim dziesięcioleciu? Znajdując odpowiedź na to pytanie, może zbliżymy się do zrozumienia sensu Powstania Sierpniowego i musimy, choćby w największym trudzie i mozole, piąć się ku temu zrozumieniu, bo to najpierwszy nakaz jaki nam pozostawili ci, co polegli. Kiedy uprzytomnimy sobie, że jesteśmy u progu nowej wielkiej epoki w dziejach ludzkości, to pojmiemy lepiej konieczność największych ofiar, które ponosić muszą w pierwszym rzędzie te ludy i narody, co czują, iż ten nowy czas będzie ich epoką i że muszą weń wejść w pełni własnej wolności.

W listach, w wierszach, w przygodnych wypowiedziach najlep-

szych spośród powstańców spotykamy się tak często z wiarą, z przeczuciem, z niewyraźnym jeszcze pragnieniem, aby ten bój, który dla nich będzie ostatnim, nie był tylko bojem o Warszawę, ani tylko o Polskę, ani tylko odpłatą Niemcom za lata udręki i poniżenia, — ale walką o zupełnie inną Polskę w zupełnie innym świecie. I można by te pragnienia i tę wiarę określić jako młodzieńcze mrzonki i zlekceważyć jako niewymierne wyobrażenia, gdyby nie były przypieczętowane masowym poświęceniem się dla sprawy i ofiarą nie mającą równej w naszej historii. Polityka, która nie będzie mocno opierać się na tym fundamencie krwi, ofiary i wiary w lepszy świat pozostanie polityką nierealną. W tym znaczeniu polityka „na wyrost“ jest jedyną polityką realną.

Twierdzić wolno, że nie było na ziemi od pierwocin kultury ludzkiej epoki bardziej rewolucyjnej od naszej. „Jedyną rewolucją jest wynalazek“, napisał kiedyś Żeromski. A Engels powiada: „Przyroda jest sprawdzianem dialektyki“; można dodać, że sprawdzianem realności programu politycznego jest jego dostosowanie się do stopnia poznania i opanowania przyrody przez człowieka.

Na nic nie zda się wygodne wymijanie problemu przez stwierdzenie, że już nieraz ludziom się zdawało, że rozpoczynają nową wielką erę, albo, że koniec świata jest bliski. Dziś każdy wie, że człowiek doszedł w swej wiekowej walce z przyrodą do punktu, w którym może preparować koniec świata w laboratorium. Każdy o tym wie, ale nasze nawyki myślowe, poglądy, i w konsekwencji koncepcje polityczne, tkwią jeszcze w epoce z przed laty 25-ciu, u innych z przed 50-ciu, u niektórych z przed 100 i więcej jeszcze.

Jesteśmy narodem młodym i ludowym, niezużytym, podobnie jak nasi sąsiedzi południowi i wschodni. Są narody stare, narody rentierów, narody intelektualistów, narody tradycjonalistów. Brak wyrobionych i ustalonych tradycyj politycznych w naszym kraju, olbrzymia wyrwa, która nas dzieli od naszych dobrych i twórczych tradycyj państwowych, nasza osławiona „głupota“ ostatnich wieków, staje się dziś, na progu nowej ery, naszym wielkim atutem. W przeciwieństwie do tylu narodów, których własna przeszłość trzyma bezlitośnie na uwięzi, które nie mogą oderwać się od jej rozpamiętywania, które przeszłość swoją przeżuwają, lubują się w niej, bez końca opisują i przedstawiają — możemy, naród młody i ludowy, śmiało skoczyć w przyszłość, pozbawieni zbędnego balastu.

Prawdziwa historia Polski, bo historia polskich mas ludowych, rozpoczęła się dopiero przed 100 z górą laty. Przed tym to były czasy baśniowe. Ta historia posiadła też od swego początku swoją wyraźną wytyczną: jest nią stopienie ducha religijnego z treścią socjalistyczną. Nie jest to jakimś wyłącznym monopolem naszego narodu, bo jest to powszechna wytyczna naszych czasów, jednak naród polski już dał światu niejeden kamień węgielny pod przyszłą budowlę świata wyzwolonej pracy i wolnego ducha i niewątpliwie wyda jeszcze w tym dążeniu dzieła o nieprzemijającej wartości.

Tych kilka uwag pozwoliliśmy sobie skreślić w czwartą rocznicę Powstania, choć nie danym nam było wziąć udział we wspólnej walce. Podzielamy całkowicie powszechną opinię uczestników Powstania, że ci którzy tam nie byli może nigdy nie zrozumieją czym ono było. Niektórym z nas, w dalekim Londynie, wydawało się wtedy, że pojmujemy głos walczącej Warszawy. Po powrocie do kraju musieliśmy wgłębiać się, wkopywać, wyrywać własnej ziemi tajemnicę walki i ofiary tych pięciu lat. Tylko dalszy bieg historii poświadczyć może, kto z nas myli się dziś w swej ocenie, a kto się przybliżył do istoty rzeczy.

M. Malina

Stanisław Podlewski

„PRÓBA“

Zasadniczą troską dowódców na Starówce była myśl, co będzie, kiedy obrońcy wyrzucą ostatnie granaty. Ta chwila zbliżała się nieubłaganie.

Ppułk. Radosław wraz z wielu oficerami trwał przy koncepcji przebicia się z powstańcami do puszczy kampinoskiej. Stamtąd otwierały się możliwości bardziej decydującej i swobodnej walki z Niemcami, a równocześnie uratowania od zagłady kilkotysięcznej rzeszy młodzieży. Dalsze trzymanie się w murach staromiejskiej dzielnicy groziło nieuchronną zagładą. Pułkownik ranny w nogę, w głowę i w bok, w czasie walk 11 sierpnia, leżał teraz w kamienicy Tyszkiewiczów na Krzywym Kole: Nie mógł być szermierzem swoich planów w Komendzie Głównej Armii Krajowej.

Akcję podjął Jezuita, ojciec Paweł, kapelan zgrupowania „Radosław“. Miał po temu wszelkie dane. Był świetnym mówcą, niezrównanym dialektykiem, o wielkiej odwadze i samodzielności myśli.

Cała starszyzna „radosławowska“ zebrała się dla omówienia sytuacji. Chodzi o los całego zgrupowania —, a właściwie całej Starówki — o utrzymanie albo nie utrzymanie „północnego frontu“ powstańczej stolicy.

Narady trwały już długie godziny.

— Diabła warte te nasze gadanie — zakonkludował w końcu por. Tatar. Pójdziemy do Komendy Głównej, przedstawimy wszystko i co? — tak, jak to się w wojsku zwykle dzieje — każą nam trzasnąć kopytkami i wrócić na dawne stanowiska. Tu musi gadać równy z równym, a nie jakiś pipidówkowiec z marsowym „panem bogiem“.

— A może by tak ojciec Paweł poszedł do Komendy Głównej — zaproponował któryś z oficerów — i przedstawił im całą rzecz. Bo tak dalej iść nie może. Połowa nas już gryzie świętą ziemię.

— A czy jeszcze damy radę przebić się i sforsować przejście dla całej Armii Krajowej?

— Gdy ppułk. Radosław wysunął ów projekt miał trzy zdobyczne czołgi typu „Pantera“ i „Tygrys“ i dwieście pocisków artyleryjskich. Teraz jest już gorzej.

— Przebić się jeszcze przebijemy. Wyjście do Kampinosu jest jeszcze możliwe. Ale to minuta przed dwunastą. Jutro już może być za późno.

Rozłożyli raz jeszcze plany. Porównali ostatnie raporty z linii. Obliczyli siłę stanowisk, trud odległości, zapas granatów i amunicji. Doszli do wniosku: jest możliwe przebicie się na Żoliborz, a stamtąd następnie do puszczy kampinoskiej. Postanowili wreszcie, że z dowództwem rozmawiać będzie O. Paweł.

I ojciec Paweł poszedł tego wieczoru. Tylko tyle wiedział: pułk. Wachnowski i ulica Barokowa. Wysoki nowoczesny dom, po prawej stronie i po środku.

Nie łatwo było znaleźć w ciemnościach szukany dom czy osobę, która by udzieliła informacji. Dopiero posterunek, stojący przed budynkiem zdradził MP dowództwa.

Dowódcy grupy „Północ“, nie było.

— Jest na odprawie w Komendzie Głównej AK. W szpitalu, na rogu — poinformował O. Pawła kpt. Tomier.

W Komendzie Głównej w grupie wyższych oficerów zastał O. Paweł współbrata zakonnego Ojca Tomasza. Odetchnął z ulgą. Nastąpiło krótkie, formalne przedstawienie się i zaczęła się rozmowa.

— Co słychać na linii — zagadnął z uśmiechem pułk. Jesion, stary kawalerzysta, Komendant Kwatery Głównej AK.

— Źle — podjął od razu ostro z miejsca Ojciec Paweł. Starówka jest nie do utrzymania. Jeszcze tydzień dwa i leżymy wszyscy, jak amen w pacierzu.

— Cóż Ojciec tak kracze?

— Nie kraczę. Tak jest w rzeczywistości. Broni mamy tyle, ile jej zdołamy odebrać zabitemu nieprzyjacielowi. Nasze szeregi przerzedzają się w zastraszający sposób, ruiny zaściela sam kwiat intelektualny naszej młodzieży, elita naszego pokolenia, przyszli lekarze, prawnicy, uczeni...

— Cóż mamy robić w takiej sytuacji?

— Wam panowie bezpiecznie siedzieć za murami, mając jaką taką ochronę nad swoją głową. Nie widzicie młodego żołnierza nie czujecie go... W nierównej walce, bez nadziei zwycięstwa trwa w płomieniach i w ruinach. Oddajemy ulicę za ulicą: Krzywa, Pokorna, Muranowska...

— Czyż to wszystko nie jest trochę przesadzone, i zbyt egzaltowanie wygłoszone — przerywa jakiś pułkownik, krótko ostrzyżony i czarny.

— Przesadzone. Oj tak. Nie bez dozy słuszności chłopcy narzekają, że panom tu w środku Starówki dobrze siedzieć. Proszę na jeden dzień na linię frontową... w płoną ce ruiny.

Głęboka cisza zapanowała na sali.

Pułk. Wachnowski siedział, jak zawsze spokojny. Naraz zapytał niespodziewanie.

— I co Ojciec radzi?

— My od Radosława doszliśmy do wniosku, że istnieje tylko jedno wyjście: Kampinos. Uratujemy AK, miasto, ludność,

— To plan niewykonalny. Ludności nie zdołamy wyprowadzić z miasta, a pozostawioną Niemcy wymordują. Wyjście zgrupowania „Radosław“ demoralizująco wpłynie na inne oddziały, załamie się szkielet obrony.

Walka kapelana ze sztabowcami zaczęła się na ostro. Ojciec Paweł z jednej strony, a pułk. dypl. Filip z przeciwnej.

Zarzucali sobie brak realizmu w ocenie sytuacji bojowej, tchórzostwo, nie trzymanie się raz obranej linii postępowania, rewoltę, i wszystko, co sobie strony zarzucają nawzajem, gdy walczą słowem. Lecz żaden drugiego nie przekonał. Coraz to ojciec Tomasz starał się łagodzić ostre spięcia.

I tak rozstali się. Było już dobrze po północy, kiedy wychodzili obaj ojcowie z dowództwa.

Chłód pogodnej nocy letniej ujmował skronie. Gdzieś przy barykadach warknął automat — to rozmawiały placówki i czujki. Wielki, pełny księżyc płynął spokojnie po bezchmurnym niebie i seledynowym światłem zalewał domy i ruiny.

W pewnej chwili ojciec Tomasz przerwał ciszę.

— Coś ty zrobił? Oni pomyślą, żeś ty anarchista. Mogą źle zrozumieć Twoje intencje, to się rozejdzie... pomnij nasz zakon...

— No więc co? Powiedz Tomku!? Więc mamy ginąć, kiedy ja widzę wyjście, ratunek.

— Musisz wyjaśnić swoje stanowisko. Dziś jest niedziela, powiedz kazanie, tak, jak ty tylko jeden potrafisz...

I tak druga powstaniowa niedziela w Komendzie Głównej zaczęła się walką. Walką zupełnie odmienną od tej na barykadach. Walką za którą się odznaczeń nie bierze, a którą trzeba było rozegrać, aż do ostatniego dnia powstania...

Rano o ósmej godzinie wielka sala Kwatery Głównej na Barokowej zapełniła się po brzegi. Cała Komenda Główna od Bora poczynając przybyła, członkowie rządu, sztabowcy, adiutanci, dowódcy oddziałów.

Ojciec Paweł wychodzi ze Mszą św. Z orlej jego twarzy bije surowość, oczy żarzą się jakąś siłą. Tak chyba wyglądał Savonarolla, czy ci ze świętej Inkwizycji. Ten sam wyraz twarzy ma ksiądz Piotr Skarga, w znanym obrazie Jana Matejki.

Ojciec Paweł odczytał Ewangelię św. na niedzielę. Powtarza słowa jako motto: „A wejrzawszy w niebo, westchnął i rzekł mu Effeta: to znaczy otwórz się“.

Dziwna cisza zrobiła się w kaplicy. Twarze sztabowców zbladły, utkwili w kapelanie oczy. Co teraz powie? Niech zaargumentuje tak, jak dziś w nocy w dowództwie

— to spełni się Chrystusowe „otwórz się“ w poszczególnych świadomościach, ale jak?

I kapłan zaczął:

— Pytacie się o sens tej walki, którą Warszawa dziś toczy? Nie wiecie, co odpowiedzieć tym, którzy chcą rzucić broń i wieszać tych, którzy nas wyprowadzili na tę śmiertelną dla Starówki godzinę?

Ja wiem, że duża jest słuszność w narzekaniu waszym. Ja wiem, że prawda jest przy was, gdy w zrozumieniu swej bezsiły — na którą nie ma rady na ziemi, ani na niebie — siebie i wszystkich przeklinacie mówiąc: własnymi dłońmi grzebiemy grób Warszawie.

A jednak mylicie się. A jednak prawda jest gdzie indziej, kiedy twierdzicie, że bój, który toczymy, przekleństwem jest jedynie i tylko zgubę niesie, że tylko kłamstwem stoi i z ojca kłamstwem jest...

Jest jeden punkt widzenia, który jest prawdą i który zamyka usta wszystkim, którzy chcą rżnąć karabinem o bruk ulicy, a temu na imię: Sprawa nasza — sprawą Boga. Hitler podobny jest do ewangelicznego antychrysta. „Hitler gegen Christus“ — nosi szumnie tytuł jedna z książek, wydanych przez brunatną partię... W całych ich morderczy szał i wir wstawieni my. My — walcząca Warszawa. My jedyny zastęp tych, którzy Boga znak zaknęli na swych sztandarach, z zawołaniem: „Bóg, Honor i Ojczyzna“.

My — maleńka wyspa pośród szalejących mórz i piekielnych mocy.

Czy wam nie jest to oczywiste?

Dlatego walka ta przegraną skończyć się nie może. Bóg przegrać walki żadnej i nigdy z nikim nie może. Dlatego my przegrać nie możemy. Choćby nam trzeba było w grobie się położyć trupem, tak, jak zwycięzcy na Golgocie.

Słuchacze zdrętwieli. Naraz huki przeszyły powietrze, zatrzęsła się ziemia, zadrżały mury, a szyby z jękiem posypały się na ziemię. Przed kaplicą padła cała seria salwowych moździerzy, po tym druga, trzecia i czwarta. Powietrze stało się gęste, ciężkie i duszne. Kapłan stał przy ołtarzu blady i niemy, ekstatycznie zapatrzony, a gdy tylko ucichło zaczął kazać dalej:

— I my mamy się lękać tego boju? Ma nas zatrwożyć wielka ich liczba i przewaga broni?

Po Mszy św. ojciec Tomasz podszedł i uścisnął kaznodzieję.

— Wiesz wszyscy mieli łzy w oczach. Zrobiłeś szaleńców. A gdy już wyszli na staromiejskie uliczki ojciec Tomasz zapytał:

— Ja ciebie nie rozumiem. Twoje wystąpienie dzisiaj w nocy wobec oficerów Komendy Głównej i twoje wystąpienie teraz wobec tych ludzi. To jest sprzeczne, i gdy by jedno i drugie nie było najkrwawszą duchowo walką o najwyższe wartości na ziemi i niebie nazwałbym cię szarlatanem. Jak tłumaczyć te sprzeczności?

— Trzeba uczynić wszystko, aby przekonać władzę, której człowiek jest poddany, o tym, co się zespołowo uznało za słuszne i nieodzowne, zwłaszcza jeśli chodzi o życie setek tysięcy. Wszelako, jeśli się nie udało przekonać o swoim słusznym stanowisku — to trzeba jej słuchać

— a zwłaszcza kiedy się jest żołnierzem i kiedy się bój toczy.

***

Teoria Ojca Pawła jest jednakże tragicznie bezbronna wobec poczucia odpowiedzialności.

Stanisław Podlewski

Prawdziwym przyjacielem pisma jest tylko — stały prenumerator!

Zygmunt Lichniak

Tom przepołowiony wojną

Chodzi o tom poezyj Stanisława Czernika*). Aby uniknąć nieporozumień i przedwczesnych polemik zaznaczam, że nie chodzi tu o sumowanie osiągnięć jednego z najwybitniejszych autentystów, ale o ocenę dorobku po prostu poety. Określanie pisarza tą, czy inną etykietką zawsze pisarzowi może zaszkodzić. A już na pewno musi zamazać obraz jego, indywidualności artystycznej. Dlatego, mówiąc o Czerniku, ani słówkiem nie pisnę o autentyźmie. Do przestrzegania tej ogólnej zasady skłania jeszcze fakt, że zagadnienie autentyzmu, właściwie na naszym terenie jeszcze nie dorastające do rangi zagadnienia, spowiło się już tak gęstym bluszczem poetyckich nieporozumień i teoretycznych pomyłek, że wymaga osobnej rozprawy. Lepiej więc nie zagłębiać się w zawikłane spory teorii poetyckiej z poetycką praktyką, a skupić uwagę na „Siedmiu nocach", jako ciekawym zwierciadle wyraźnej ewolucji w twórczości Czernika.

Tytuł artykułu podkreśla najcharakterystyczniejszą cechę tego tomu. Widać w nim wyraźną granicę, jaką w poezji Czernika przeprowadziła wojna. Granica ta podzieliła tom na dwie prawie równe części: do str. 111 i od strony 111. Część pierwsza obejmuje cykle: „Niedościgniony czas", „Tristum liber", „Pościg i ucieczka", „Krąg balladowy", „Śpiewy historyczne". Są tu skupione wszystkie utwory powstałe w latach wojny, nieznane dotychczas czytelnikowi. Druga część obejmuje znane nam utwory sprzed r. 1939, zawarte w cyklach: „Starodrzew", „O polskim płocie", „Przyjaźń z ziemią", „Elegie".

Pierwszą częścią mówi Czernik: taki teraz jestem! Drugą częścią uzupełnia: a taki byłem dawniej! Różnica widoczna, łatwo uchwytna, bardzo korzystna dla poety, chociaż i przedwojenna jego twórczość dawać mogła powody do radości i dumy. Uchwycenie tej różnicy łatwiejsze będzie jeśli przestawimy porządek dwóch części tomu, jeśli przyjrzymy się najprzód Czernikowi sprzed wojny, a dopiero później porównamy go z powojennym.

Już pierwsze strofy pierwszego cyklu przedwojennego wprowadzają nas w arkana konstrukcji tamtego świata poetyckiego Czernika. Przypomnijmy choćby początkową partię „Okolicy".

Okolica moja — górnolica —
Zaziemiona polami,
Zadrzewiona lasami,
Ułączniona nadwodnie,
Urzeczniona przypolnie. —
Okolica moja — pagórnica —
Ojczyźnica.

Jak w tym urywku, tak w całej twórczości przedwojennej Czernika przeważa opisowe ujmowanie zjawisk. Opis nie jest tu tylko chwytem poetyckim, ale wyrazem specjalnego stosunku do świata. Ta specyficzność polega na obiektywizowaniu wszystkich doznań poetyckich. Proces obiektywizacji technicznie dokonywa się tu na drodze oddzielenia podmiotu mówiącego od zjawisk omawianych, ukryciu go poza słowami, roztopieniu w słowach, w ich swoistej metafozyce, muzyczności, czy nowatorstwie. Źródłem piękna jest dla Czernika to, co widzi, i to przede wszystkim pragnie oddać w swojej poezji. Zamienia się cały we wzrok. Oczy są jego najważniejszym narządem, zmysł wzroku najważniejszym zmysłem. Dlatego — opis najcharakterystyczniejszą forma. Kontakt optyczny, pogłębiony nurtem emocjonalnych podniet, mających źródła w konwencjonalnym trochę patriotyźmie, czy regionaliźmie jest dla autora „Starodrzewia" najważniejszą więzią ze światem. Zjawiska istnieją dla niego jako kształty, linie, plamy, światła, jako obrazy. Kocha świat oczyma, rozumie świat wzrokiem.

Ani temu kochaniu, ani temu rozumieniu nie można zarzucić płycizny, łatwizn, uproszczeń lub prymitywu. Czernik wydobył wszystkie wartości, jakie można było wydobyć z obserwowania, **zewnętrznego obserwowania** zjawisk i stosunków między nimi. Odkrył, a co trudniejsze, wyraził piękno prostoty, znalazł harmonię między sprawami kosmicznych niemal wymiarów i sprawami maluczkich, a znalazł ją właśnie w kontemplacji najmniejszych, najprostszych egzemplarzy piękna, w swoich kalinach, orzeszkach, czy krowach - czartach... Znalazł także obiektywne potwierdzenie dla siły tej więzi, która łączy człowieka z kasztanem, kamieniem czy kołkami w płocie. I znalazł to znowu w odkrytym przez siebie pięknie, widzianym czujnymi, kolumbowymi oczyma poety.

Czytając przedwojenne cykle Czernika pełni jesteśmy podziwu, a czasami nawet niekłamanego zachwytu dla jego „poezji oczu", dla niezwykłości i wnikliwości widzenia poetyckiego, dla niezliczonej ilości kształtów, linii, światłocieni i barw, które nam ukazuje w swoim opisie. I godzimy się, że to opis prawdziwy, piękny i dokładny. Godzimy się, że wydobył wszystko, co opis wydobyć może. Ale — żałujemy, że to tylko opis. Przeczuwamy, że Czernik, który tyle potrafił przemyśleć oczyma, tyle potrafił zgłębić wzrokiem, nie mogącym wszak przebić powierzchni zjawisk, ma w sobie siłę, która wniknie pod ich powierzchnię, która pogłębi wszystkie słowa poety, nada im więcej mocy, odkryje ich drugie dno. Tą siłą mogła stać się, mając u Czernika świetnie przygotowany grunt, refleksja, jakiś nurt uczuć i myśli płynący od wewnątrz, chociaż z wydarzeniami świata zewnętrznego, mający swój wyraźny związek. Tego nurtu brak cyklom sprzed 1939 roku. W wielu wierszach wyczuwało się, że wzbiera on w poecie, że jakiś wstrząs wyzwoli go z ukrycia i użyźni nim, zbogaci i ustokrotni plony czernikowej poezji.

Tym wstrząsem stała się wojna. Wylew nurtu refleksyjno - uczuciowego, potężny i zbogacający twórczość, stanowi ową differentiam specificam, która przepoławia omawiany tom na dwie wyraźne części. W części wojennej Czernikowi opis już nie wystarcza. Czernik nie poprzestaje na przedstawieniu świata takim, jakim go widzi, ale ukazuje go nam także takim, jakim go rozumie. A wzrok myśli sięga dalej, niż wzrok oczu. Cykle powojenne — w odróżnieniu od przedwojennych — oprócz rozmiarów wszerz, wzdłuż, czy wzwyż, zyskują jeszcze jeden wymiar: w głąb. Poprzez kształty zjawisk, które tak dobrze widzieć i kochać nauczył się poeta w swoich pierwszych tomach, dostrzega już autor „Niedoścignionego czasu" ich sens nieprzemijalny, trwalszy niż forma, która podlega działaniu lat, czy wieków. Na płaszczyźnie opisu tych nowych odkryć pomieścić się nie da, nie wyrazi ich zespół barw, zarys linii, słownik konkretów. Trzeba abstrakcji, słów o losie, mądrości ludzkiej, tęsknocie i miłości. Czernik zrozumiał to doskonale. Nie sili się na opisowe metafozy, sięga do słów najprostszych i najtrafniejszych. Ale to nie znaczy wcale, żeby drapał się mozolnie z jednego stopnia abstrakcji na drugi, zapominając o ziemi. Językiem jej piękna, jej ukochań wypowiada swoje refleksje. Jeśli sięga do słowa „los" lub do słowa „mądrość" to robi to tylko wtedy, gdy nie mieści się jego myśl w słowie „dzban" lub „łąka". Ta rozwaga słów, odpowiedzialność za każdorazowe ich użycie potęguje wymowę, wzmacnia ważkość wszystkich refleksyj. Tym są one wyrazistsze, tym pełniejsze, że dawnym cyklom nieznane, że nowe, że powojenne.

Już w pierwszych strofach wiersza otwierającego drugi krąg twórczości Czernika wyczuwa się wyraźnie owo novum. Przypomnijmy choćby fragment „Pożegnania biblioteki przed wojną" z cyklu „Niedościgniony czas".

Otwiera i zamyka się okno przed wojną.
Jak przed wieczorem.
Otwiera się okno na łąkę spokojną.
Na drogę bitą pod borem.
Spokojniejsza niż łąka czeka biblioteka
Na pożegnanie.
Tym wciąż mądra: czas w księgi ucieka.
Nieistotne jest każde rozstanie
I nie większe ponad błąd człowieka.

Jak w tym urywku, tak i w całej twórczości — jeśli tak rygorystycznie określić ją można — powrześniowej panuje — obca zupełnie poprzednim tomikom — skłonność do refleksji, metafizycznej zadumy, filozoficznych rozważań. Łączy się z nią — szczególnie w „Tristum liber" — nurt wewnętrznej, nie związanej z opisem zjawisk zewnętrznych uczuciowości. I jedno i drugie sprawia, że poeta intensywniej przeżywa siebie, że jego liryka jest bardziej subiektywna, bardziej osobista, po prostu: liryczniejsza. Jak dokonało się to przeobrażenie, dlaczego nurt refleksyjny nie osłabił, a przeciwnie — wzmógł ekspresję i emocjonalną sugestywność wierszy powojennego Czernika, nie staramy się odpowiedzieć. Jest to — prawdopodobnie — dotarcie do źródeł swojej osobowości poetyckiej, odnalezienie prawdziwego oblicza, którego szukają poeci całymi latami, odnalezienie siebie.

Tom „Siedem nocy" jest dowodem, że Czernikowi udało się swoje poszukiwania zakończyć jak najszczęśliwiej.

Przemianom wewnętrznym towarzyszyły zewnętrzne. Mniej wyraziste, mniej istotne to przemiany, ale łatwo uchwytne i ciekawe. Kompozycję dawnych tomów, złożoną z krótkich a licznych wierszy zastępuje układ kilku obszernych poemacików, składających się najczęściej z kilkunastu części, łączonych w całość wątkiem treściowym, atmosferą i powtórzeniami wierszy z jednej części w części drugiej. Znikają w tych poemacikach charakterystyczne dla wierszy przedwojennych „pagórnice" i „ojczyźnice" i „anielce — bielce". Pozostają jednak w cyklach powojennych wszystkie walory jego dawnej techniki pisarskiej: niezwykła świeżość słowa, muzyczność i obrazowość strof, bezpośredniość i prostota składni — to wszystko, co pozwala odkryć w jego wierszach urok prawdziwej poezji.

Zygmunt Lichniak

*) Stanisław Czernik: „Siedem nocy". Bibl. Oddziału Wiejskiego Z.Z. L.S., Kraków, 1948, str. 182.

Stanisław Urstein

O zagadnieniach muzyki

Zarówno muzycy, miłośnicy muzyki, jak i ci, którym sprawa kultury muzycznej w Polsce mocno leży na sercu, z pewnego rodzaju emocją przystępują do wszelkich rozmów i rozważań na temat nadchodzącego sezonu. Powodów do przeżywania tej emocji nie brakło. Same fakty: likwidacji chóru Filharmonii W-skiej, ciągłe echa tarć i nieporozumień w łonie orkiestry, a więc trzonu tej placówki, decyzja (na szczęście dziś już nieaktualna) pozbawienie Warszawy placówki operowej — dowodziły, że stoimy wobec trudności, których przezwyciężenie powinno poprowadzić nas w nowym sezonie na odmienne niż dotychczas tory.

Leżą przede mną stosy recenzji z imprez muzycznych ubiegłego sezonu. Aż zdumiewa i przeraża ilość negatywnych. Przykrym jest również ich ton — ostry, przeważnie złośliwy, pozbawiony ciepła i serdeczności, jakby celem ich nie było przyjacielskie podciąganie wzwyż dla dobra ogólnego. Ale i dużo w nich słuszności, jeżeli idzie o poziom artystyczny ubiegłego roku. Problemów było wiele i wiele ich stoi przed nami na progu zbliżającego się sezonu. Filharmonia, opera, radio, recitale i koncerty sporadyczne, widowiska muzyczne, upowszechnienie muzyki, bezrobocie artystów, stosunek starszych do młodych, wymiana artystycznego wzroca — oto współczynniki ogólnego zagadnienia życia muzycznego, które już w roku 1948/49 wejść musi na tory planowej, zdecydowanej akcji.

Zagadnienie jest wielkie. Zdajemy sobie sprawę z trudności, piętrzących się przed ludźmi, w których ręce złożono ich wykonanie, ale nie upoważnia nas to na założenie rąk i czekania na „lepsze czasy". Każde zagadnienie musi zostać dokładnie przewentylowane, oświetlone ze wszystkich stron i wejść musi w orbitę planowej pracy. Wiemy, że nie od razu Kraków zbudowano i żaden zdrowo myślący człowiek nie żąda, aby po dewastacji wojennej sztuka muzyczna w Polsce, a tymbardziej w zburzonej Warszawie kwitła, — ale czas wstąpić na drogę planowej pracy, rzeczywistej opieki nad artystą i umiejętnego operowania materiałem ludzkim, wśród którego nie brak talentów pierwszej jakości.

Z wyliczonych powyżej rodzajów sztuki muzycznej, które składają się na całość zagadnienia, każdy lub prawie każdy wymagałby osobnego artykułu, dla omówienia jego dotychczasowego stanu i dalszej, celowej, twórczej działalności, to też będę starał się, już w najbliższym czasie omówić większość z nich, a uczynię to w formie artykułów dyskusyjnych, wierząc, że zagadnienie warte będzie podjętego trudu. Dziś postaram się ująć całość zagadnienia pokrótce.

Wiadomo, że filharmonia, opera, radio itd. wszystko to będzie kontynuowało swoją działalność — nie o to też należy kruszyć kopie. Ważne jest jak to będzie wyglądało.

Wiemy, że wiele rzeczy musi się zmienić. Wiemy, że mimo cyfr — sala filharmonii (Roma) w ub. roku przeważnie świeciła pustkami. Gdy zbrakło sensacji w sensie Bruchollerie, czy Ungara — na widowni spotykało się wciąż tych samych ludzi — kartkowiczów, lub posiadających passe partout. Zawsze było za mało młodzieży, brak było świata pracy, brak nauczycielstwa. Dlaczego? Czy zawiniły ceny, czy program, czy jedno i drugie?

To ważny punkt. Filharmonia grać musi dla wszystkich. Wszystkim dać należy możliwość uczęszczania do niej — ale trzeba także umieć i chcieć zainteresować nią szerokie rzesze. Polityka repertuarowa na sezon bieżący musi być poważnie przedyskutowana. Warszawa chce więcej Mozarta, Beethovena, Majkowskiego, Karłowicza, a w każdym razie chce dla nich tyle miejsca, ile poświęca się nowinkarstwu muzycznemu, często wątpliwej wartości. Chce ulgowych biletów dla świata pracy, którego na kupno ich po cenie urzędowej nie stać. I nie chce słyszeć ciągle, że „młody zespół filharmonii" jeszcze nie może grać „tak", albo „tego". Czytaliśmy czasem, że „nasz młody zespół brzmiał pięknie i pełno" — oto nam więcej odpowiada. Brzmiał „pięknie i pełno" — bo go widocznie na to stać.

A opera? To co było operą w Warszawie dotychczas — miało swe usprawiedliwienie. Dziś, gdy opera, włączona do Filharmonii uzyska lepsze warunki pracy — musi wyglądać inaczej. A więc jak? Musi mieć zespół śpiewaków — tak młodych, jak i doświadczonych. Musi znaleźć koncepcję artystyczną, ale koncepcję, a nie kombinację. Takie próby „unowocześnień", kosztem śpiewu i muzyki, ze skłanianiem się do rewii, groteski, z zagubieniem stylu — co jest niedopuszczalne, już widzieliśmy i wiemy, co o tym sądzić. Musi mieć jasno wytkniętą linię repertuarową, dostosowaną do możliwości wykonawczych i niech wreszcie śpiewaków uczy i wychowuje, a nie wykańcza za cenę kilku łatwych sukcesów.

A Radio? No tu już tomy można by było wypisywać. Zrobię to — daję słowo. Tomy nie — ale artykuł dam. A tenorem jego będzie, że: „radio ma obsłużyć wszystkich ludzi. Ma dać koncert poważny dla jednych, rozrywkowy dla drugich, ma dać muzykę dla mas, ma zatrudniać muzyków i artystów, ma liczyć się ze słuchaczami. Musi dać dużo, dużo audycji dobrych, a tylko bardzo niewiele słabych. (Ideału nie żądamy)". A jak jest? Niestety wszystko na odwrót.

Jest jeszcze jedno i bodaj czy nie najważniejsze zagadnienie — to sprawa upowszechnienia muzyki. Piszący te słowa miał okazję zetknąć się z tym zagadnieniem w ub. sezonie, jako akompaniator i prelegent. O celowości tej akcji nawet można by było nie nadmieniać. Jest ona bezsprzecznie czołowym zagadnieniem w życiu kulturalnym. Całemu narodowi sztuka muzyczna musi być udostępniona i cały naród tak do szeregów twórców, jak i odbiorców sztuki musi być wciągnięty.

Akcja w tym kierunku w roku ubiegłym ruszyła z miejsca. Poważnym jej jednak mankamentem były niewystarczające na ten cel fundusze. Centr. Biuro Koncert. dysponowało na upowszechnienie muzyki sumą 500.000 zł miesięcznie na całą Polskę. Na Warszawę przypadało 25.000 zł. Cyfry mówią same za siebie. To też efekt był raczej słaby. Koncertów było mało — robiono je na ogół bez planu, a co gorsza — bez ciągłości, niezbędnej dla zainteresowania muzyką słuchacza i dania mu pewnego przeglądu dzieł, stylów, kompozytorów czy form. Minimalnie współpracowały w tej dziedzinie warsztaty pracy — za każdym razem zasłaniając się brakiem funduszów — a raz kierownik z ramienia Centr. B. Konc. nie mógł zorganizować nawet koncertu za darmo (autentyczne) z braku chętnej do jego wysłuchania, instytucji. A każdy odbyty koncert cieszył się ogromnym powodzeniem u licznie zebranych robotników i urzędników...

A więc i tu pole do popisu. Plan, dobre chęci i... niestety, ale trochę pieniędzy, bo mimo wszystko, co się o nim myśli i mówi... — artysta także musi jeść. Nie wątpię, że fundusze na cele takie znajdą się, a robotnik warszawski i z województwa, a także i w całej Polsce mieć będzie koncerty i nawet przedstawienia operowe. Plan opery objazdowej, zmontowanej wespół z innymi formami upowszechnienia spoczywa w biurze pewnej powołanej instytucji. I naprawdę nie jest taki bardzo kosztowny.

Wierzę, że sprawy, które tu poruszyłem leżą na sercu wielu ludziom. Wierzę, że czynione będą wysiłki, aby poziom muzyczny w W-wie podnosić z każdym koncertem, z każdym przedstawieniem operowym. Ale pisać i mówić o tym musimy. I czym więcej tym lepiej. Raz jeszcze powtórzę—„Nie od razu Kraków zbudowano" — ale chcemy widzieć postęp. Nie sporadyczne dobre imprezy — a całe cykle, które wyraźnie wskażą nam, że choć dziś nie jest jeszcze dobrze — to jesteśmy na stałej drodze ku lepszemu. Że wraz z gospodarczym rozwojem kraju, jego kultura musi się także podnosić— jeśli nie szybciej — to w tym samym terminie. Wierzę, że się to stanie — bo opieram swoją wiarę na narodzie, w którym chętnych i utalentowanych nie brak. Reszta należy do tych, którzy mają nimi kierować i w których rękach leży wykucie pięknego, realnego i co daj Boże długofalowego planu. Skończyć z dorywczością, a wejść na drogę w której nie tylko cel, ale i jego etapy jasno się nakreślają — oto naczelne zagadnienie, w którym pierwszym etapem być musi nadchodzący sezon.

Stanisław Urstein

Nadesłano

WYDAWNICTWO IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI — POZNAŃ

Dr Emil Godlewski, prof. chemii rolniczej U. J. — POKARMY ROŚLINNE I SZTUCZNE NAWOZY, wydanie IV przejrzane i uzupełnione przez prof. dr Tadeusza Lityńskiego, str. 96.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

Zofia Żurakowska — PÓJDZIEMY W ŚWIAT — opowiadanie dla młodzieży, str. 80.

W. I. Lenin — MATERIALIZM JAKO NAJWYŻSZE STADIUM KAPITALIZMU — Biblioteka Klasyków Marksizmu, szkic popularny, str. 129.

Fryderyk Engels — ROZWÓJ SOCJALIZMU OD UTOPII DO NAUKI — Biblioteka Klasyków Marksizmu, str. 83.

Bolesław Prus — ANTEK — wydanie III, str. 30.

Bolesław Prus — ANIELKA—Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, opracował Zygmunt Szweykowski, str. XI + 196.

Adam Schaff i Leon Brum — POGADANKI EKONOMICZNE — wydanie III, str. 123.

Adam Schaff — WSTĘP DO TEORII MARKSIZMU — Zarys materializmu dialektycznego i historycznego, str. 290.

Roman Zambrowski — OD DEMOKRACJI LUDOWEJ DO SOCJALIZMU — przemówienie wygłoszone na Krajowej Radzie Aktywu PPR dn. 13.VII.1948 r., str. 37.

Wojciech Bąk

MIELCZARKOWA

W obecności Mielczarkowej nie można było wyrazić najmniejszej wątpliwości w zwycięstwo powstania.

Tęga kiedyś szwaczka, później wychudła, z oczyma głęboko wpadłymi, i wyostrzonymi przez cierpienie, niedożywienie i bezsenność rysami twarzy natychmiast wybuchała ostrym głosem:

— Wstyd tak mówić! Niech się pan (lub pani) zgłosi do Niemców, to dostanie nagrodę! Że też Polak może takie słowa mówić. Wstyd i hańba!

Nie uznawała żadnych wątpliwości w aliantów. Gdy ktoś o nich wątpiąco wspomniał, Mielczarkowa nie dała się przekonać. Głowa jej podskakiwała nerwowo, a włosy wichrzyły się:

— Jakże to, przecież wszyscy walczą z Niemcami. Jakże mieliby nie pomóc? W to już nigdy nie uwierzę. Że się pomoc przewleka, to są na to powody, ale przyjdzie ona, przyjdzie...

Najmniejszy samolot myśliwski, ukazujący się na niebie, był dla niej zapowiedzią tysięcy skrzydeł opiekuńczych nad Warszawą. Najmniejszy zrzut broni gwarancją wyzwolenia. Najmniejsza pogłoska szczęśliwa — triumfalnym proroctwem zwycięstwa.

Trzeba ją było widzieć, kiedy opowiadała o tych sprawach. Głos jej brzmiał poczuciem dumy. Jakby chciała nim małodusznych zmiażdżyć. Ruchy jej były gwałtowne, a na jej obolałej i zmęczonej twarzy zjawiał się uśmiech.

Gdy jednak wiadomości okazały się przesadnymi i pozbawionymi większego znaczenia, przygasała. Ale tylko na chwilę. Wystarczało wypowiedzieć słowo zwątpienia lub choćby krytycznej rozwagi, aby oczy jej zapaliły się gniewną zawziętością i z ust wybuchał potok słów ironicznych.

Po pewnym czasie zaczęto unikać z nią rozmów na ten temat. Szeptano po kątach. Mielczarkowa patrzała na szepcących z pogardliwym uśmiechem wyższości i przekonania niezłomnego o słuszności swej prawdy. Z biuletynów, które przynosiły codzień mniej pocieszające wiadomości, umiała zawsze wyłowić jakiś szczegół optymistyczny. Inne rzeczy puszczała mimo uszu.

Czekała. Była w domu ogniem nigdy nie przygasającej nadziei. Wiara jej uparta działała tak silnie, że często nawet najwięcej krytyczni ulegali jej i sądzili, że przecież niewykluczone jest, by język wzniosły dyplomatów pokrył się z istotą ich poczynań.

Rzeczywistość była jednak dość wyraźna.

Mielczarkowa nie dostrzegała jej, nie chciała jej dostrzegać.

***

Kto by ją znał uprzednio, nigdy by nie przypuszczał, że tkwi w niej tyle siły. Przed powstaniem była to cicha kobieta, nie zwracająca niczyjej uwagi na siebie. Mąż jej zginął pod Kutnem w 1939 roku. Zostawił jej dwóch dorastających synów: Aleksandra i Stanisława. Mielczarkowa przez całą okupację zamęczała się pracą, byle tylko wychować synów. Chłopcy, obaj wysocy, przystojni blondyni, cieszyli się ogólną sympatią. Matka nie żałowała żadnego wysiłku, by dać im możność kształcenia się. Maszyna do szycia turkotała w jej mieszkaniu z małymi przerwami od świtu do nocy.

W pierwszym dniu powstania spotkałem Mielczarkową na podwórzu. Tęga ta jeszcze wtedy kobieta nie robiła wrażenia osoby mocnej i wytrzymałej. W oczach miała łzy i z niepokojem pytała mnie o powstanie. Nie — to nie była Mielczarkowa późniejszych tygodni. Raczej przeciwnie, — sprawiała wrażenie kobiety niespokojnej i dręczonej złymi przeczuciami.

Nie było to dziwne: obaj synowie wstąpili do powstania. Nie zachęcała ich, lecz nie sprzeciwiała się także. Chłopcy musieli jej na pewno wiele naopowiadać o szansach zwycięstwa i pomocy aliantów. Któż w nią wtedy nie wierzył, i nie przypuszczał, że w istocie na tę pomoc liczyć miasto będzie mogło. Przecież cała Warszawa była wtenczas pełna entuzjazmu. Czyż można się dziwić, że Mielczarkowa nie była wyjątkiem?

Gdy pierwszy syn, Aleksander, zginął, wybuchła najpierw ogromnym płaczem. Ciała nie przyniesiono — zginął w potyczce, rozszarpany granatem. Nie mówiono jej tego, twierdzono tylko, że ciało pozostało po stronie niemieckiej. Mielczarkowa, po pierwszym wybuchu płaczu, słuchała z szeroko otwartymi oczyma i ustami, jakby chciała krzyczeć, zaprzeczać... Nic jednak nie wyrzekła. Nagle porwała się z jękiem, jakby chciała wybiec na miasto. Przytrzymano ją. Zaprowadzono do mieszkania. Tu padła na łóżko, odwróciła się do ściany i wybuchła szlochem, nie dającym się pohamować. Kobiety przytrzymywały jej głowę, którą tłukła o ścianę, jakby chciała ją rozbić...

Oczywiście mówiono jej, jak zwykle w takich wypadkach, o śmierci za ojczyznę, o zwycięstwie... Są tacy, dla których słowa te są frazesami — na pewno nie były one nimi dla niej.

Długo w noc znajome siedziały u niej, pocieszając ją, jak umiały. Mielczarkowa nie mówiła nic, tylko płakała, jakby chciała całą pamięć z siebie wypłakać.

Są ludzie, na których los się uwziął. Po trzech dniach zginął drugi syn, Stanisław. Starano się jej o tym jak najostrożniej donieść. Także ciała Stanisława nie odnaleziono. Zostało ono w istocie po stronie niemieckiej. Gdy się Mielczarkowa dowiedziała o tej drugiej śmierci, zastygła w milczeniu. Nie pytała o nic, na żadne słowo nie odpowiadała. Mówiono do niej, ale ona najmniejszym znakiem nie dawała odczuć, że cokolwiek słyszy. Opuszczono ją w nocy, otępiałą, niemą, z półobłąkanym uśmiechem na twarzy. Wszystkim się zdawało, że załamała się pod tym ciosem.

Następnego dnia spotkaliśmy już nową Mielczarkową. Nieszczęście nie tylko jej nie załamało, ale dało jej tę zawziętą wiarę, która odtąd będzie ją cechować. Na pewno oddała wszystko, co miała w życiu. Mąż i dwaj synowie — to była jej ofiara. Nikt jej więcej nie pozostał.

Wielkością tej ofiary, mierzyła to, co się działo. Czyż mogła przypuszczać, że taka ofiara może być daremną? Na to była zbyt prostą kobietą, i zbyt uczciwym człowiekiem. Oczywiście za mało również orientowała się w rzeczywistości.

***

Odtąd Mielczarkowa porzuciła troskę o siebie i o własny dom. Nie usłyszał od niej nikt słowa skargi ani narzekania. Jakby ślub złożyła swoim zmarłym, że dzieła ich nie opuści. Od świtu do wieczora można ją było widzieć na podwórzu. Pracowała w kuchni, którą urządzono dla prowizorycznego szpitala w naszym domu oraz dla ludzi, którzy po stracie własnego mieszkania w naszym podwórzu szukali schronienia. Mieszkanie jej było pełne obcych ludzi. Nie obawiała się wyjść w czasie najgorszej strzelaniny w celu przydźwigania zapasów i wody, którą trzeba było przenosić z oddalonego domu, do czego zwykle chętnych brakowało.

Nie było w niej romantycznego narażania się na śmierć, tej pozy bohaterskiej, która stała się przyczyną tylu zgonów. Przestrzegała wszystkich środków ostrożności, padała, kuliła się, przyciskała do murów, garbiła pod barykadami. Nie było w niej obawy, lecz nie było także lekkomyślnego pałosu. Prosta ta kobieta nie byłaby do niego zdolna. Nie szczędziła się, lecz nie trwoniła również siebie, jakby chcąc przetrwać do zwycięstwa.

Była potrzebna. Gdy wszyscy tracili wśród świstu granatów i huku bomb głowę, ona zachowywała chłód. O spokoju trudno mówić, gdyż naprężone, ostre rysy jej twarzy znamionowały wewnętrzną udrękę. Czasem opadało ją znużenie. Siadała wtedy byle gdzie, na progu, na schodach. Wydawała się zupełnie bezsilną. Energiczne jednak potarcie ręką twarzy i włosów doprowadzało ją szybko do równowagi. Coraz częstsze były te ruchy ręki.

Chudła wprost w oczach. Głębokie sińce pod oczyma rozszerzały się codziennie, a twarz przybrała sino-żółtą, niezdrową barwę. Nie można jej było jednak skłonić do spoczynku. Nie słuchała nikogo. Od świtu do późnej nocy była na nogach, starzejąc się widocznie z każdym dniem. Coraz częściej można było dostrzec w czarnych jej włosach pasemka siwe. W ostatnich dniach była już zupełnie siwa.

Nie lubiła rozmawiać.

Większe zainteresowanie objawiała tylko przy czytaniu biuletynów, nie znosiła jednak uwag krytycznych o powstaniu. Jakiej była orientacji politycznej? Przypuszczam, że żadnej. Niemcy byli absolutnym złem — to był jeden jej pewnik. Drugim pewnikiem było, że alianci są absolutnym dobrem. Jakże mogła wątpić w ich pomoc? Myśl o tym, żeby ta pomoc miała zawieść, musiała odczuwać jako potworność, na którą się zgodzić nie mogła. W jej prostym, uczciwym umyśle sama taka myśl była już zbrodnią i występkiem. Jak sobie tłumaczyła przeciąganie się pomocy, nie mogę sobie wyobrazić. Może właśnie dlatego tak oburzała się na głosy krytyczne, że przypominały jej bolesną sprawę, której sama wytłumaczyć nie mogła.

Z każdym dniem stawała się namiętniejsza w wystąpieniach karcących.

Wiedziano o tym. Pod jej surowym wzrokiem zastygały ludziom słowa na wargach. Jeśli o tych sprawach chciano mówić, usuwano się od niej i szeptano. Patrzała na szepcących z pogardą. Nie sprowokowana jednak, nie odzywała się nigdy.

Jeden tylko Spychalski, pozbawiony prawej nogi inwalida z 1939 roku, ośmielał się w jej obecności wyrażać niewiarę i rozpacz.

Od pierwszego dnia powstania zajmował stanowisko negatywne. Przypominam sobie w pierwszym dniu powstania jego głos na podwórzu:

— Tylko tego nam było potrzeba! Tylko tego było nam potrzeba. Możemy pożegnać Warszawę.

Starano się go zakrzyczeć, wytłumaczyć mu, że zwycięstwo jest pewne.

Pesymizm jego wydawał się wszystkim nieuzasadniony — Warszawa była miastem entuzjazmu moralnego.

Nikt nie zważał na niego, gdy trzasnąwszy drzwiami, wrócił do swego mieszkania.

***

Z daleka głosiło radio wzniosłe przemowy, wzywające do podtrzymania powstania, w zacisznych zaś gabinetach toczyły się rozmowy polityczne. Z bliska rozpadała się Warszawa. Dzielnica za dzielnicą sypała się w zgliszcza. Bezbronne miasto nie osłonięte skrzydłami samolotów, stawało się łupem bombowców niemieckich. Wiedziały one dobrze, że nic im nie grozi. Płynąc tuż ponad dachami, jakby na ironię dla miasta, sypały bomby, nie spiesząc, ani denerwując. Robota ich była planowa i metodyczna. W szumie ich skrzydeł, w huku bomb, w szczekaniu karabinów maszynowych brzmiał śmiech, jakiś potworny, okropny śmiech nad miastem. Jakby dźwięczało w nich szyderstwo ze złudzeń, z nie liczącą się z rzeczywistością, wiarą moralną. Bomby były argumentami szyderczymi. Jakby odbywał się między miastem a nimi ogromny spór, jakiś gigantyczny dialog. Argumenty bombowców, armat, były coraz silniejsze. Nie — nie były to argumenty rozgorączkowane, spieszne i nieplanowe. Metodycznie rozłożone, zimne mechanicznym spokojem, powtarzały się codzień wyraźniej, nie tracąc nic z dobrze rozłożonej planowości, jakby chciały zaznaczyć, że mają czas. Raz po raz rojem białych skrzydeł opadały na miasto kartki propagandowe dowództwa niemieckiego. Wirowały radośnie ponad pożarami przeżartym miastem, trzepotały i wreszcie spływały na bruk, na barykady i zgliszcza — jak złośliwe, ironiczne ptaki.

Mielczarkowa nie czytała ich. Zbierała je i paliła. Głucha na argumenty spadające z nieba hukiem bomb i ironicznym trzepotem papieru, zacięła się w uporze.

Spychalski mógł stwierdzić, bardzo osobiście słabość swoich natrętnych, krytycznych uwag. Własny syn jego był tej słabości najlepszym dowodem: mimo tylu doświadczonych uwag ojca uciekł któregoś dnia z domu. Wstąpił do powstania, gdzie miał podzielić los synów Mielczarkowej.

Miasto było tak pełne energii moralnej, że szczególnie młodzież była wobec niej całkowicie bezbronna. Miasto wciągało w swą walkę, w swój olbrzymi spór z przemocą wbrew logicznym rozumowaniom i chłodnym rachubom. Wszystkich przejmował jakiś moralny szał, „święty“ szał. Młody Spychalski nie mógł mu się oprzeć. Przystojny ten szatyn był jedynakiem. Spychalski był wdowcem. I on, jak Mielczarkowa, nikogo poza synem w życiu nie miał.

Gdy się dowiedział o śmierci chłopca, wybuchnął:

— Teraz niech się wszystko na mnie sypie. Koniec — koniec!

Ten chudy, wysoki kaleka, zupełnie inaczej zareagował niż Mielczarkowa na śmierć syna. Jakby się w nim szkielet rozpadł i pozostała tylko masa bezradnego ciała. Jakby był ruiną niezdolną do czego innego, niż prorokowanie klęski.

Powrócił po pogrzebie syna, którego pochowano z wszystkimi wojskowymi honorami, pochylony, przygarbiony, jak po ciężkiej chorobie.

Starano się go pocieszyć. Mówiono, jak zwykle, o śmierci za ojczyznę, o tym, że niebawem miasto będzie wolne, że tysiące synów teraz ginie.

Powstał zły i gniewny, krzycząc:

— Giną, giną! Wiem o tym! Daremna ta śmierć! Czekajcie, czekajcie! Zobaczycie tu tylko ruiny. Po co to wszystko? Po co?!

Mielczarkowa pierwszy raz się wtedy załamała. Wykrzyknęła:

— Niech pan nic więcej nie mówi! Niech pan nic więcej nie mówi! To można zwariować! To można zwariować!

Zacisnęła uszy pięściami i wybiegła z podwórza z płaczem.

***

Po godzinie uspokoiła się. Krzątała się po podwórzu, jakby się nic nie stało. Dźwigała wiadra z wodą. To przynoszenie wody było jej codziennym zajęciem oprócz przygotowania posiłków, które codzień więcej stawały się fikcją. Coraz częściej tylko przesuwała się jej dłoń po twarzy i włosach. Chudła też coraz więcej. Nie traciła jednak energii.

Jak już mówiłem, jedynie Spychalskiemu wolno było wyrażać głośno pesymizm. Gdy on zaczynał mówić, powoli odchodziła, nie wypowiadając jednego słowa, jakby istniała między nimi jakaś tajemna umowa. Ani on jej nie zaczepiał, ani ona jego. Może przyczyną tego był wzajemny szacunek i zrozumienie dla tragedii tak bliźniaczo podobnej. Musiała czuć, że nie wolno występować wobec niego z zarzutami niedostatecznego patriotyzmu. Tak samo na pewno i on czuł, że nie może wobec niej występować z krytyką. Jest godność, którą nadaje głębokie cierpienie. Wobec tej godności milkną argumenty logiczne — stają się nieprzyzwoitością. Oboje respektowali to niespisane prawo ludzkie.

Nowość

Jan Dobraczyński

„WYBRAŃCY GWIAZD”

powieść

str. 304 zł. 800.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Tymczasem w ogromnym dialogu, jaki toczył się między miastem a samolotami, armatami, czołgami, codzień triumfalniejszymi stawały się argumenty nieprzyjaciela. Samoloty krążyły z zwycięską pewnością ponad miastem. Pożary rozszerzały się, wzrastały góry ruin, coraz to więcej krajobraz stawał się księżycowy, nierealny, fantastyczny. To nie było miasto rzeczywistości, ale wielkiego marzenia, do którego ludzkości jakże jeszcze daleko, do którego jednak nigdy nie przestanie tęsknić. Marzenia o ludzkości, rządzącej się prawami moralnymi, a nie chłodnymi rachubami politycznymi. Marzenia wszystkich wieków, nigdy nie spełnionego.

Zaczęto wychodzić z Warszawy.

Pewnego dnia wyszli państwo Frankowscy z pierwszego piętra. Wiadomo było, że uchodzą z miasta. Z wielkimi tobołami na plecach wyruszyli wieczorem, by już więcej nie powrócić.

Mielczarkowa stała właśnie w bramie. Odezwała się:

— I dokąd to państwo idą?

— Wychodzimy z miasta. My już tu więcej nie wytrzymamy.

— Ależ ludzie, bójcie się Boga, cóż wy robicie? Przecież to się niedługo skończy.

— Kto wierzy, niech czeka. .

Wyszli.

Głos Mielczarkowej rozlegał się w podwórzu:

— Poszaleli! Właśnie, kiedy ma się wszystko rozjaśnić, oni wychodzą. — Zniknęła w drzwiach kuchni z fanatycznym, gorączkowym śmiechem.

Spychalski, który w tej chwili stał na podwórzu w gromadzie szepcących rzekł, kiedy znikła.

— Rozjaśni się nam wszystkim w grobie.

Następnego dnia uderzyła „krowa" w dom. Mieszkanie Spychalskiego runęło. Nie wydobyto jego trupa. Był tak zasypany, że nie sposób było go wydostać.

Odtąd już nikt głośno nie śmiał się sprzeciwiać Mielczarkowej...

***

Wreszcie miała otrzymać ostateczny cios.

Od dłuższego czasu szeptano o kapitulacji. Zrzuty były śmiesznie małe i nie mogły w niczym zmienić sytuacji. Słowa nadziei brzmiały słabo. Mówiono je raczej z przyzwoitości, niż z wiary. Mielczarkowa nie odzywała się. Nie zabierała ostatnio głosu w ogóle, ale wciąż jeszcze tlił się w niej ostatni żużel nadziei. Wystarczyłoby rzucić na niego najnędzniejsze wióry, aby zapłonął wielkim płomieniem. Tych wiórów już nie rzucono.

Przyniesiono za to wiadomość o kapitulacji.

Mielczarkowa nie chciała z początku wierzyć. Nie mogła jednak mieć już teraz wątpliwości. Stało się. Zamknęła się w kuchni. Nikt nie miał teraz czasu interesować się co się z nią działo. Wreszcie poszła do opustoszałego mieszkania. Zamknęła się.

Ludzie byli zajęci pakowaniem rzeczy. Robiono toboły, by nie wyjść z miasta nago. Powoli opuszczano dom, wychodząc na wskazane przez władze niemieckie miejsce.

W końcu przypomniano sobie o Mielczarkowej. Kilka osób poszło do niej. Oddała ona wszystkim zbyt wielkie usługi, by miano ją teraz opuścić. Chciano jej pomóc w niesieniu tobołów. Początkowo wołano z podwórza, nie otrzymano żadnej odpowiedzi. Wkroczono więc do jej mieszkania. Leżała na łóżku z wyschłą, trupią twarzą. Jedynie rozpalone jej oczy świadczyły o tym, że żyje. Ktoś odezwał się:

— No, niechże pani wstanie, trzeba wyjść.

Nie odpowiedziała nic.

— Niech się pani tak nie przejmuje, wszystko będzie jeszcze dobrze...

I na te słowa nic nie odpowiedziała. Łzy tylko spływały po jej policzkach. Ktoś rzekł:

— Taki jest świat! Taki jest świat, a nie inny!

Na te słowa rozległ się straszliwy krzyk:

— Ja nie chcę waszego świata! Ja nie chcę waszego świata!

Starano się ją uspokoić, ale coraz głośniej rozlegał się krzyk:

— Nie chcę! Nie chcę!

Z trudem wywleczono ją z mieszkania. Spodziewano się, że może uspokoi się, gdy zobaczy tłumy ludzi, ciągnące z tobołami na plecach. Wyprowadzono ją na ulicę. Szli ludzie o twarzach wychudłych gorączkowych. Mielczarkowa patrzała dłuższy czas. Nagle wyrwała się. Zanim zdążono się zorientować, co się stało, z krzykiem: Nie chcę! Nie chcę!— rzuciła się pędem, którego by nikt nie oczekiwał w tak wątłym, zniszczonym ciele wprost w ruiny. Jej szara suknia mignęła jeszcze na chwilę i rozpłynęła się w szarości zgliszcz. Zabrzmiał jeszcze, z oddali jęk — Nie chcę! — Nie chcę! — lecz i on po chwili zamarł.

Starano się ją pochwycić. Przeszukiwano pobliskie ruiny. Nie znaleziono jej nigdzie.

Nikt już jej więcej nie widział. Zabrała ją Warszawa i zmieszała jej prochy z własnymi prochami. Dziś już nikt prochów domów, ojców, matek i synów nie rozdzieli. Nikt Mielczarkowej już nie znajdzie. Rozpłynęła się w Warszawie.

Gruzy przejęli w swe władanie z uśmiechem Niemcy. Był to uśmiech triumfu nad moralną wiarą miasta.

***

Wieczorem tego dnia wygłoszono wiele mów uroczystych w audycjach radiowych całego świata o Warszawie. W gabinetach zaś zastanawiano się nad konsekwencjami politycznymi tego faktu.

Wojciech Bąk

TYDZIEŃ KULTURALNY

ZJAZDY WROCŁAWSKIE

OPRÓCZ zakrojonego na skalę światową Zjazdu Intelektualistów, odbędzie się, w czasie trwania wystawy, we Wrocławiu, szereg innych zjazdów pracowników kultury polskiej.

Na dzień 15-go września przewidziany jest zjazd pracowników Biblioteki Uniwersyteckiej U. W., a w okresie od 18 — 23 obradować będą członkowie Polskiego Towarzystwa Historycznego.

ZNOWU PISARZ DYPLOMATĄ

DNIA 28 ub. m. złożył listy uwierzytelniające regentce Holandii, księżnie Juliannie, nowomianowany poseł R. P. w Hadze minister Ksawery Pruszyński, autor „Trzynastu opowieści" i „Karabeli z Meschedu".

FILHARMONIA PO RAZ N-TY

RADA Związków artystycznych w Warszawie zwróciła się z apelem do władz i społeczeństwa w sprawie odbudowy gmachu Filharmonii Warszawskiej. Apel stwierdza, że odbudowa Filharmonii Narodowej jest sprawą szczególnie palącą. Zbliża się przecież rok 1949 — setna rocznica śmierci Chopina. Na ten temat zmarnowało się już u nas sporo atramentów i sporo farby drukarskiej. Niestety wszystkie te słowa wypowiedziane lub napisane nie mogą trafić do właściwych uszu. W sprawozdaniu SFOS-u widnieje pozycja: pożyczka dla „Filmu Polskiego". Buduje się aż dwa nowe kina. Buduje się nowe stadiony. Tylko Filharmonia nie ma szczęścia. Wszystkie apele kończą się jak przysłowiowa rozmowa dziada z obrazem. Jak na spadkobierców Chopina i Szymanowskiego, postępujemy wcale ładnie.

NAGRODA „ODRY"

24 sierpnia odbyło się posiedzenie sądu konkursowego nagrody literackiej „Odry". Jury w składzie: Stanisław Helsztyński, Zdzisław Hierowski, Jarosław Iwaszkiewicz (przewodniczący), Tadeusz Mikulski, Wilhelm Szewczyk, Kazimierz Wyka i Wojciech Żukrowski, nagrodziło Antoniego Gołubiewa (200.000 zł) za książkę „Bolesław Chrobry" („Puszcza" — „Szło nowe") oraz Stefana Sulimę (pseudonim) za zbiór reportaży z Prus Wschodnich p. t. „Ziemia odnalezionych przeznaczeń" (140.000 zł).

MOŻE BĘDZIE LEPIEJ?

PRZEDSIĘBIORSTWO Państwowe „Film Polski" wypuszcza na ekrany nową wersję „Zakazanych piosenek". Do nowej wersji wykonano dużą ilość nowych zdjęć. Zmianom uległa również fabuła filmu. Mamy pewne wątpliwości, czy zda się na co ta cała historia z przeróbką. Nie było do czego wracać. Już naprzód boimy się, że ta sama próba rehabilitacji czeka „Jasne łany".

POZNAĆ PANA PO CHOLEWACH

MIEJSKIE Teatry Dramatyczne zmieniły kierownictwo literackie. Na miejsce Maliszewskiego przyszli Maśliński i St. R. Dobrowolski. Nie trzeba o tym wydawać specjalnego komunikatu. Poznaliśmy od razu. Po czyim? po nowej formie reklamy. Taki na przykład wierszyk:

„Dobry żart — tynfa wart,
a dobrze podany żart —
dwa razy więcej wart".

Jest to tytuł ogłoszenia o wznowieniu komedyjki „Pociąg widmo". Zawsze to, panie dzieju, co poeta to poeta. Chapeau bas!

FERIE SIĘ SKOŃCZYŁY

2-go września odbyło się ostatnie pożegnalne przedstawienie opery poznańskiej. Mili goście wrócili do domu, a w Teatrze Polskim wznowiono (4-go września) „Fantazego". Znak to nieomylny, że lato mamy już za sobą. Teatr Polski podejmuje swą działalność wznowieniami Fantazego, Odwetów i Cyda. Czekamy na właściwe otwarcie sezonu.

MUZEUM KOPERNIKA

5 września otwarto we Fromborku (woj. olsztyńskie) Muzeum im. Mikołaja Kopernika. Siedzibą Muzeum jest zabytkowy budynek jednej z kanonii na wzgórzu przy katedrze. W odbudowie jeszcze znajduje się wieża, w której Kopernik zmarł w r. 1543. W salach muzealnych wystawiono, opartą na badaniach naukowych rekonstrukcję instrumentów astronomicznych używanych przez Kopernika.

HOJNY PICASSO

PABLO Picasso, przybywszy do Wrocławia na Kongres Intelektualistów, ofiarował Polsce dwadzieścia swoich najnowszych dzieł ceramicznych. Cenne dary wystawione będą wkrótce w Muzeum Narodowym w Warszawie.

WARSZAWA W FOTOGRAFII

Z okazji miesiąca odbudowy stolicy otwarta została w dniu 1 września w Muzeum Narodowym wystawa - fotomontaż p. t. „Warszawa".

LEKTURA GÓRNIKÓW

CENTRALNA rozdzielnia książek i dział bibliotekarski Centr. Zw. Zaw. Górników przeprowadziły interesujące zestawienie najbardziej w świetlicach górniczych poczytnych powieści.

Oto czołowa dziesiątka:

1. Morcinek — „Wyrąbany chodnik".
2. Dołęga - Mostowicz — „Znachor".
3. Prus — „Lalka".
4. M. Mitchel — „Przeminęło z wiatrem".
5. Rodziewiczówna — „Devajtis".
6. Sienkiewicz — „Krzyżacy".
7. Cronin — „Cytadela".
8. Fiedler — „Dywizjon 303".
9. Kraszewski — „Stara baśń".
10. Szołochow — „Cichy Don".

Śląscy komentatorzy tego zestawienia są zadowoleni z wyniku badań.

Pozwolimy sobie być nieco innego zdania. Zupełnie źle nie jest, ale, sądząc np. po „Znachorze" górnik nie bardzo się orientuje, którą książkę naprawdę warto przeczytać. Trzeba by było ułatwić im ten wybór.

Jak wynika z powyższego do pierwszej dziesiątki nie zaawansowała żadna z powieści powojennych (prócz „Dywizjonu 303"). To już jest bardzo źle. I jeszcze jedna uwaga. Tym razem pocieszająca. A więc jednak Sienkiewicz (5-ta lokata), a więc jednak Prus, Kraszewski.

Wędrówki po scenach polskich

„Powrót" — Croisseta i Flersa*)

Wspólnik de Caillaveta, de Flers wybrał sobie raz dla odmiany innego partnera do napisania komedii, mianowicie autora granych zresztą w Polsce sztuk „Jastrząb" oraz „Kino i miłość" Croisseta.

Druga spółka nie była tak dobrana jak pierwsza. „Powrót" dość daleko stoi od takich majstrowskich robótek jak „Zielony frak", „Król" „Ścieżki cnoty", czy choćby „Ładna historia" i „Papa". Niemniej w komedii czuje się poprawne rzemiosło komediopisarza. Braknie tu może odrobiny większego polotu w wikłaniu akcji, razi może nadużywanie takich ułatwień jak poczta i telefon, no, ale skoro Bell już w roku 1876-tym obdarzył ludzkość pierwszym telefonem wierząc, iż wynalazkiem swoim ułatwi życie człowiekowi (jakże bardzo się mylił — vide telefony w Warszawie A. D. 1948 r.), skoro z usług poczty ludzkość korzysta już od wielu, wielu wieków, dlaczegoż by ze zdobyczy wiedzy nie mieli korzystać autorzy dramatyczni.

Pełni pobłażliwości nie będziemy mieli zbyt wielkich pretensji do autorów za cały szereg niekonsekwencji w budowaniu akcji, w kompozycji treści i w rysunku figur (trudno sobie na przykład wyobrazić, by Jakubowi Vaudiere, człowiekowi, którego nawet lata wojny nie zdołały odzwyczaić od pewnych nawyków tak charakterystycznych dla urzędniczka otrzymującego zasłużenie kartki rodzinne, by temu właśnie człowiekowi chciało się urządzać tego typu maskarady sztuczki i mistyfikacje dla przekonania żony, że jej miejsce jest przy nim. Kto w tym czasie pisał raporty dla ministerstwa?). Nie jestem wprawdzie zwolennikiem tezy iż autora czy autorów komedii nie obowiązują prawa konsekwencji i logiki, ale, ponieważ ani Flers, ani Croisset nie pretendują do miana wieszczów (skromniejsi są niż nasi komediopisarze) wiele im można wybaczyć. Jak słusznie zauważył Leśnodorski, odrzucić trzeba z „Powrotu" obcy nam klimat tej komedii.

Cóż tedy zostało z „Powrotu". Klimat odrzucamy, w konstrukcji widzimy błędy, w postaciach sprzeczności...

Zostało to, o co autorom chodziło: dwie godziny przyjemnej rozrywki wywołanej dość zręcznym żonglowaniem sprawami człowieczymi, nie tracącymi wiele na wadze wskutek podania ich na wesoło.

Obowiązkiem recenzenta jest podobno dłuższy wywód na temat jednej przynajmniej z tych spraw dość hojnie rozrzuconych przez autorów. Trudno. Trzeba się dostosować. Namyślam się, którą wybrać. Hm... można by na przykład tę: „gdyby mężowie wydawali swoje żony za mąż, byłoby więcej szczęśliwych małżeństw na świecie". Paradoks? Nonsens? Nie tak znów bardzo. Nic się nie zmieni w dowcipnie ukrytym sensie tego zdania, jeśli powiemy na serio, pompatycznie: gdyby mężowie zechcieli, poznawszy charakter żony, uwzględnić główne jego rysy i do nich (jeśli dobre) dopasować swoje postępowanie, byłoby więcej szczęśliwych małżeństw. Dorzućmy tylko: i vice versa, i oto mamy gotowy środek na uzdrowienie życia małżeńskiego. Proszę... W komedii kto by się tego spodziewał.

Uciekam jednak od dalszych na ten temat wywodów. Przyznano mi prawo wolnego wyboru. Porusze co innego.

W zakończeniu komedii przemiły Baltazar poucza tymi mniej więcej słowy: dla ludzi, którzy przeszli wojnę istnieją sprawy ważniejsze, niż miłość do kobiety. Buntujemy się wewnętrznie przeciw temu. Ze wszystkich uczuć skierowanych do człowieka jednym z najpiękniejszych jest miłość mężczyzny do kobiety, zwłaszcza miłość męża do żony. Chyba tylko miłość matki-rzyńska ma w sobie więcej szlachetności (przy równorzędności mocy). A przecież scena spotkania między Jakubem a Marcelem, scena, w której do walki o kobietę staje dwóch rywali, a która wskutek prostego faktu, iż poznało się dwóch towarzyszy broni kończy się dziecinną niemal ich zabawą w odtworzenie jednego z przeżytych fragmentów bojowych, jest bardzo życiową i bardzo ludzką.

Braterstwo broni, to jeden z najmocniejszych więzów łączących ludzi. Czy wskutek tego należy uznać iż wojna, zjawisko zdolne obudzić tak mocne i niewątpliwie piękne uczucie, jest również piękna? Byłby to przykład bardzo nieumiejętnego wyciągania wniosków.

Braterstwo broni jest koalicją jednostek skierowaną przeciw wojnie. Jest to uczucie powstające jako ujawnienie wewnętrznego protestu przeciw temu, co się dzieje, jako wypowiedź walki o życie człowieka, walki o szybki powrót do domu, o pokój.

Tak już jest na tym świecie, że wspólne przeżycie niebezpieczeństw więcej zbliża niż okres największej radości. To zbliżenie powstaje nie tylko z przeżycia złych dni, ale i z walki z tym co w nich było złego. Walkę ze złem toczy się zawsze o dobro.

Nie miała racji Colette buntując się przeciw odnowionemu przypadkiem braterstwu broni.

Jak na pokłosie skromnej komedii stanowczo tu za dużo powagi. Czasem tak się jednak zdarza. Zasługa autorów? — chyba nie... Po prostu nastrój recenzenta takie właśnie wywołujący skojarzenia.

W postaciach stworzonych przez autorów rozeznać się dość trudno. Najpełniejszą z nich jest chyba Baltazar, człowiek jednej miłości, zdolny dla niej do największych poświęceń, aż do wyrzeczenia się jej. Oczywiście, iż starszy pan, który dawno już skończył ...dzieści siedem lat, płaczący nad doznanym po-

(Dokończenie na str. 10)

*) Miejskie Teatry Dramatyczne w Warszawie.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

16

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem“

— Tak, wielcy ludzie nie decydują niczego — powiedział Alex — i dlatego doprawdy nie ma o czym mówić.

Czelepiński miał ochotę zaprzeczyć. Właśnie to jedno, dlaczego warto było żyć — wielkość. Solidaryzował się z Ksawerym. Ksawery zresztą tak mówił, ale był zrezygnowany, niezdolny do poruszenia świata dokoła siebie. Bo wielkość człowieka musi mieć jakiś sprawdzian. Może nawet nie przez tworzenie, nie bierzmy sprawy tak patetycznie, pomyślał Tadeusz. W każdym razie przez coś, co się dookoła niego dzieje, przez niepokój, który on udziela rzeczom, zjawiskom, myślom. Przez wirowanie, przez szaleństwo ruchu, któremu on daje początek. „Czyż byłbym ambitny?“ — próbował się zanalizować. Jednak, zwycięstwo socjalizmu nie może być zwycięstwem jednego człowieka. Przeciwnie, skoro zwycięża człowiek, przegrywa socjalizm. Zwycięstwo socjalizmu jest w pewnym sensie zwycięstwem abstrakcji, to znaczy zwycięstwem wizji. Czy istnieje jeszcze wizja socjalizmu, która ma szanse zwyciężyć? Ile racji ma Damian, Damian, który przede wszystkim chce uzasadnić metafizyczne swoje biuro planowania?“.

Gdy wychodzili, robił się wczesny świt wiosenny. Pod ścianami przylepione cienie żebraków. Nie chciał jechać taksówką. Szedł pieszo do placu Napoleona, wytrzymywał ataki żebraków. Dawał im drobne pieniądze, mechanicznie, bez poczucia winy i bez współczucia. Żebractwo, ta druga forma prostytucji. Mniej ohydna, bardziej wstrząsająca. Zastanowił się, czy słowo „ohyda“ jest tutaj dobrze użyte, na właściwym miejscu. Wspomniał Ewę z „Dziejów Grzechu“, przesąd serca. Można się litować, nie znaczy to jeszcze, aby się w jakiś sposób solidaryzować. Można rozgrzeszać, ale czy łatwo wytępić w sobie odruch wstrętu? Wstrętu — do kogo? Do Ewy, do Łukasza? Na pewno, logicznie biorąc, do Łukasza. Ewa była jego ofiarą. Ale Żeromski nie dostrzegł jednego, że czegoś mimo wszystko Ewie przebaczyć nie można. Nie Pochronia, to już tylko dalszy ciąg tragiczny. Raczej tego pierwszego momentu, tego że nie umiała się uchronić od atmosfery, gdzie jest grzech. Okrył się szczelnie płaszczem. „Czy ja, socjalista, nie powinienem być bardziej wyrozumiały? Co ma do tego socjalizm — ma, jednak ma, jest nienawiścią do krzywdy ludzkiej“. Ale i w tym ujęciu — doskonale, powiedział do siebie, doskonale — każdy powinien być wewnętrznie zobowiązany do ochrony siebie, do unikania okazji. Kto się naraża, ten przyjmuje ryzyko, ten nie może się zasłaniać nieświadomością. Unikać tego ryzyka, ryzyko jest jak wyzwanie. A jeśli się rzuca wyzwanie, przyjmuje się odpowiedzialność za odpowiedź. Stanął na rogu placu Napoleona — w głębi Szpitalnej niezdrowym nadrannym blaskiem świeciły neonowe reklamy. Niebo przejaśniało, ale nie zrzedło. Było gęste jak noc ubiegła, z której się wydobywał, coraz trzeźwiejszy.

Coraz bardziej wrażliwy, coraz bardziej nieubłagany. Pamiętał spowiedź Feli: to było na krótko przed poznaniem Moniki. Może, gdyby nie ta spowiedź, nie to opowiadanie... Pamiętał ten wstrząs obrzydzenia, dosłownie: obrzydzenia. Powiedziała mu, że przed nim spała z mężczyzną. Przyjął to bez zmrużenia powiek, spokojnie. Znajdował, że miała zupełne prawo, może nawet był zadowolony. Tak, był w pewien sposób zadowolony, nie trzeba było mieć skrupułów, nawet tych skrupułów. Przypominał sobie jej twarz w chwilach ekstazy — zaciśniętą, do bólu włącznie, do bólu, który było widać. Starała się gasić światło, zapalał lampę na nowo. Przymykała oczy, ale to nie było zwyczajne przesłonięcie powiek: zaciskała powieki. Wargi się jej rozchylały, widać było zęby, cała twarz malała, kurczyła się jak cytryna, którą się ściska w dłoni. A jednak, to go nurtowało, to zwierzenie. Był po prostu ciekawy — jak się to odbyło. Nie wierzył, aby zwyczajnie, przeczuwał jakąś tajemnicę, jakąś rzecz niedobrą. Była zbyt młoda, nie wierzył, aby kogokolwiek przed nim kochała. Dręczył ją pytaniami, mimo niesmaku jaki budziły w niej — i w nim samym.

— Daruj — prosiła — daruj, nie mogę o tym mówić.

Zacinał się tym bardziej w swojej woli dowiedzenia się wszystkiego, dowiedzenia się prawdy. Czy ostatecznie powiedziała, prawdę? Ale właśnie ta wersja, którą w końcu opowiedziała była nie do przyjęcia. Nie mógł na nią przystać, nie mógł przystać na Felę — po tym opowiadaniu nie to, że zaczął ją nienawidzieć. I nie pogarda, też nie. Po prostu lekceważenie. Z dnia na dzień utraciła dla niego wagę. Nie budziła w nim nic, najwyżej fizyczne podniecenie, które mijało w jakiejś apatii, bez znaczenia.

— Rozumiesz, grał na skrzypcach. Znałam go mało, ale grał tak ślicznie. Przychodził do mnie ze skrzypcami, zwykle o zmierzchu, po pracy, jeszcze czasami zmęczony, to było widać. I wtedy grał. Słuchałam, zasłuchiwałam się na śmierć. Nie wiedział nawet jaki ma wielki na mnie wpływ. Znałam go tylko przez muzykę, nic nie wiedziałam o nim, poza nazwiskiem i imieniem. Nawet gdzie pracuje, był zdaje się elektromonterem. Kiedyś przyszedł później niż zwykle, bez skrzypiec, ubrany odświętnie, na czarno i prosił, żeby iść z nim na jakąś zabawę, do jego znajomych. Namyślałam się, poszłam w końcu. Może nie trzeba było Tańczyliśmy, było dużo wódki. Ja nie jestem przyzwyczajona, może nawet jestem. mogę trochę wypić. Ale wtedy się upiłam. Nic nie pamiętam.

— Nic nie pamiętasz? — Miał wypieki na policzkach, oczy zgorączkowane. Nie zauważyła niczego, może nie chciałaby nic dalej powiedzieć. Cierpiała. — I co dalej — zapytał. — Wtedy?

— Wtedy. Chciał się ze mną nawet ożenić, na to jedno nie mogłam się zgodzić. Nawet nie dlatego, abym miała do niego żal. Po prostu tak — nie mogłam.

— Ale jak... Przecież musiałaś wiedzieć. wiedzieć wtedy czy się zgadzasz.

Pokręciła głową. Było jej coraz trudniej mówić.

— Prawie nic nie pamiętam. Jechaliśmy dorożką, tak mi się spać chciało, nie miałam siły... Doprawdy. Potem się obudziłam, spojrzałam na zegarek, stanął o ósmej. Było silne słońce, rzeczywiście, okazało się, że to już południe. Przeraziłam się, przypomniało mi się — tak niewyraźnie, jak przez sen... Wrażenie wielkiego bólu, nic, tylko tego bólu...

Zagryzł wargi. Milczał. Jeszcze mówiła, teraz było jej łatwiej:

— Spał, odwrócony do ściany. Domyśliłam się, numer hotelowy. Wiesz, to było tak zwyczajnie, jak w powieściach. Nawet nie płakałam, choć głowa mnie też bolała. Tak leżałam i myślałam jak wyjść, przechodzić przez hotel, napotkać portiera, służbę — z numeru, wynajętego na jedną noc... Obudziłam go, pytałam jak mógł. Powiedział, że sama się zgodziłam. Możliwe, przecież nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, czego on ode mnie mógł chcieć...

Tadeusz zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Myślał jeszcze o Feli, już resztkami sił, resztkami myśli. Jak wtedy, też resztą przytomności. Od razu ocenił stopień jej winy, w tym zaniedbaniu, w tym lekceważeniu siebie. W parę dni później powiedział jej, że nie mogą się już widywać. Siedzieli w małej kawiarni. Nie była zdumiona.

— Wiedziałam, że tak wyjdzie — powiedziała. — Będzie mi ciebie bardzo brak. Ale to trudne. Nie martw się o mnie — dodała. — Ja sobie dam radę. Tak musi być.

Musiał usnąć, bo nie wiedział kiedy zajechali przed dom. Cicho otworzył drzwi. Rolety przesłonięte, mieszkanie, które znał tak dobrze. Zajrzał do pokoju Moniki: spała z włosami rozrzuconymi na poduszce, nakryta kołdrą po oczy. Wysunął się na palcach, zamknął za sobą drzwi.

Postanowił się już nie kłaść. Wykąpał się w łazience, bał się, że plusk wody obudzi Monikę. Spała, albo udawała, że śpi. Potem zabrał się do czytania, przeglądał rękopisy: materiały do pracy o psychologii walki politycznej. Czuł się zupełnie świeży. Dochodziła siódma rano. O dziewiątej miał wyznaczoną rozmowę z przewodniczącym centralnego komitetu wykonawczego. Zdrowy rozsądek mówił, aby się przespać. Tym bardziej, że potem było jeszcze zebranie w TUR. Aż do południa nie było mowy o spaniu, wreszcie — redakcja. Więc dopiero po obiedzie. Nie miał ochoty na rozmowę z Moniką — skrzywił się: te wszystkie małżeństwa inteligenckie, w których nie ma dzieci. Tak, ale Monika spodziewała się dziecka. Może potem się wszystko ułoży. Ułoży — co za straszliwe słowo. Sama rezygnacja, oczekiwanie na dobre działanie przypadku. Co to będzie — dziecko. Pomyślał, że mężczyzna może mieć dziecko z byle jaką kobietą, mężczyzna nie ma bowiem żadnych uczuć ojcowskich. Potem, może, wobec dorosłego chłopca czy dziewczyny. Jedyna rzecz, która jest w stanie budzić uczucia ojcowskie — miłość do kobiety. Przez nią, dla niej. Niechętnie pomyślał, o tym dziecku, które się urodzi. Były tylko dwie ewentualności, jeżeli chciał naprawdę uniknąć rozmowy z Moniką — położyć się spać albo wyjść z domu. Ubrał się po cichu, zostawił kartkę do żony — „wróciłem późno, wyszedłem, gdyż mam interesy. Wpadnę na obiad“. Powietrze podziałało na niego oszałamiająco, jakaś cierpka gorycz w ustach. Wsiadł do tramwaju, pojechał na most księcia Józefa. Było pusto. Policjant na służbie, wózki z warzywami, poza tym nikogo. Od rzeki — silny wiatr. Szare brudne fale, gdzie niegdzie białe wełny. Pod mostem Kierbedzia od brzegu oderwał się biały pasażerski stateczek. Jednak, nic tu nie było do roboty. Wrócił do miasta, pieszo i zajął miejsce w małej mleczarni. Do dziewiątej było jeszcze trzy kwadranse czasu. Gorące mleko mu nie smakowało, może dlatego, że parzyło język, podniebienie. „Dziecko — pomyślał znowu — to są zwiększone koszty utrzymania, poza wszystkim, także“.

Zastanowił się: — a jeśli wybuchnie wojna? Nie ulegało wątpliwości, wybuchnie. Tadeusz przypuszczał, że pierwsze miesiące wojny będą ciężkie. Długa linia frontu, kręta linia graniczna. „Jak długo możemy wytrzymać? Na żadną pomoc nie należało liczyć. Dostawy będą zbyt trudne“. Oczekiwał wojny pozycyjnej, wszyscy tak myśleli. Pamiętał z manewrów sprzed trzech lat bory tucholskie, jezioro z wyspą cisów pod Wierzchucinem. Może gdzieś tam? Powiększa się efektywy liczebne, system powołań indywidualnych. Nie miałby nic przeciw temu, gdyby został powołany. Jednak, pomyślał, trzeba będzie poprosić o krótki urlop. Chociaż dwa tygodnie.

Wojna. Teraz dopiero rozumiało się w pełni dramat hiszpański. To była walka o utrzymanie przedpola w bramie Morza Śródziemnego, w bramie do Włoch, do Egiptu, do Indii. Niszczenie zabytków sztuki, obrazy z Matką Boską poćwiartowane, profanacja kościołów. Zapalił papierosa, wydał mu się bardzo niedobry. Górnicy z Oviedo, obrona Madrytu — wiersze Ligonia, gdzieś na drugiej półkuli pisane, które mu się tak podobały. Co można było wiedzieć na tamtych dalekich wyspach, tak spokojnych, minęła ich romantyczność z epoki Cooka, z epoki Londona. Teraz są jak dziki fantastyczny park: krajobrazy. Ligoń ze swą ucieczką od cywilizacji, w poszukiwaniu nowej woli. Tadeusz pamiętał swój pierwszy pobyt u Ligoniów, kiedy jeszcze mieszkali na Śląsku.

— Socjalizm? — powtórzył Ligoń. — Nie. Wszystko inaczej. Wy chcecie zmienić parę urządzeń. I dacie w zamian coś nowego, coś obmyślonego. Zachowacie państwo, zachowacie społeczeństwo. Ja myślę, że trzeba zupełnie zmienić naturę ludzką. Oduczyć posiadania, wykorzenić wolę władzy.

— Więc anarchia?

— Nie. Po prostu: nowa wola życia. Oczyścić człowieka z naleciałości mechanicznych, zostawić czystą chemię.

Ligoniowa, o zewnętrznym wyglądzie walkirii, chcącej zdradzić Wagnera: gotowa raczej słuchać Debussy'ego, przyglądać się faunom, spędzającym w słońcu swoje popołudnia. Dewin twierdził, że jest demoniczna. Tadeusz nie wierzył w kobiety demoniczne. Ale w niej była jakaś siła, siła mitologiczna — nie, zwyczajna, trzeźwa siła. I zniecierpliwienie. Czy rozumiała Ligonia? Tak, właśnie w ten sposób: bez mitologii. Świat bez mitologii, bez historii. Zaczynający się od nich. Miała więcej biologii, niż Ligoń. Potem pamiętał jakiś wywiad z Ligoniem. I jego słowa do dziennikarza — ja nie mam tradycji, nie rozumiem tradycji.

Czelepiński, pomyślał, że w ten sposób może przemawiać pokolenie, które jest równocześnie niecierpliwe i zuchwałe, które wie, że dożyje kosmicznego buntu. Istnieje haszysz rewolucji. Nawet nie to tylko, że się niszczy. Lecz i drugi plan: że się będzie potem tworzyć. Na gruzach.

I prawdy, głoszone z uporem przez komitet centralny: w Polsce nie może być rewolucji. Czemu więc w dołach partyjnych, na sekcjach młodzieży, na sekcjach robotniczych, pozwalali o niej mówić? Czy wiedzieli, że to jest jedyny mit, w imię którego można pociągać masy, czy po prostu nie mieli dostatecznej siły, aby zabronić? Należał do młodego skrzydła partii, był tyle razy ze starymi na noże. Zjawisko charakterystyczne na obu krańcach: młodzież z narodowej demokracji także nie dowierzała swoim szefom. Zarzucano szefom oportunizm, zmęczenie. Tylko w obozie rządowym tego zjawiska nie było. Ostatecznie, Damian nie poszedł tam po to, aby się buntować. Aby, szczebel po szczeblu, wspinać się w karierze, wejść w tamto ciało rządzące, nauczyć się mechanizmu rządzenia. Zajmować miejsca po emerytach, po umierających. Stał z poduszką śmiertelną w dłoniach, dostatecznie cierpliwy; nie on jeden, jeszcze wszyscy ci o różnych odcieniach, demokraci, radykali. Był wierny, był gotowy do oddania śmiertelnej posługi: podłożyć poduszkę pod głowę, jeśli trzeba, wygłosić mowę pogrzebową, w której o zmarłym i o sobie już się mówiło: my. Legalna koronacja następców.

— Tak — powiedział, wysłuchawszy relacji Tadeusza o rozmowie z Makowskim, stary poseł Ochorowski — to bardzo prawdopodobne. Sanacja się nieuchronnie kończy. — Od czasu reformy wyborczej Płazy nie wchodził już do parlamentu. Używał wciąż tytułu posła — wchodził do sejmów Trąmpczyńskiego, Rataja, Daszyńskiego, Świtalskiego. W partii sądzono, że moralnie ten tytuł mu się należy. Był to zarazem rodzaj szacunku dla starego przywódcy, coś więcej, niż uznanie tytułu; uznanie jego stanowiska.

Patrząc Ochorowskiemu w twarz:

— Dla mnie ta koncepcja Pawiana jest wstrętna, powtórzyłem z obowiązku. Ale jeżeli sanacja się kończy, jak mówicie, to nie znaczy, abyśmy my mieli czekać.

— Co mamy zrobić?

— Zdynamizować masy, przejść do akcji bezpośredniej.

Ochorowski wzruszył ramionami.

— Nie czas. Będzie wojna. Na potem. Nie ostoją się po wojnie, nawet, gdyby ją wygrali. Wojna działa społecznie tak samo jak rewolucja.

Tadeusz nachylił się.

— Nie wierzycie, aby wygrali?

Znowu wzruszenie ramionami.

— Czy ja jestem Kassandra? Powinni umieć robić wojnę. Niczego innego nie umieją. Minister skarbu się spóźnił, jeszcze w zeszłym roku, tak... Ale teraz już za późno na politykę wewnętrzną. Co do rewolucji, my nie jesteśmy jak Hiszpania na półwyspie. U nich zrobiono poligon doświadczalny, manewry, u nas byłoby na ostre. Przelałoby się przez granice, nie na zewnątrz, a na wewnątrz. I kto, jaki ośrodek? Demokraci? Po większej części tkwią w systemie, są gotowi go opuścić każdej chwili, to prawda, ale nie wezmą ani steru, ani ciężaru walki. Należą do gotowego. Ludowcy, my? Nawet gdyby co, nie podnieśliśmy się jeszcze, jeszcze musimy rosnąć w siłę. To byłby młyn na wodę faszystów... — Poprawił za krótkie rękawy u marynarki. — Ja wiem, ludzie marnują się na gadaniu. Odpadają, maruderzy. Waszą robotę znam, nie myślcie. Jest dobra, na długą metę. Cała rzecz w tym, aby umieć czekać. Nie przeczekamy rzeczy najważniejszej, nowej wojny. Tego się nie da wyminąć. Wtedy dopiero przyjdzie czas.

C. d. n.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem matką po poległym powstańcu, syn mój pracował w konspiracji, całą okupację, a w czasie powstania, w szeregach płk. Radosława przeszedł najcięższe odcinki ul. Wolskiej i Starówki. Na Czerniakowskiej padł od pocisku. Pozostałam po nim zupełnie samotna, syn mój był jedynakiem. Po powrocie z wygnania znalazłam swoje mieszkanie w gruzach. Parę miesięcy spędziłam w domu noclegowym na Krakowskim Przedmieściu. Pozbawiona wszystkiego, syna, własnego kąta, bez jutra. Dziś niewiele się zmieniło. Mam lat 59, Związek Inwalidów, który mi pomagał do kwietnia b. r. obecnie odmówił swoich zasiłków — rzekomo jestem za młoda. Poszukiwanie pracy po biurach i instytucjach dały negatywne rezultaty. Przeszkodą jest wiek. A przecież mam za sobą kilkoletnią praktykę biurową, znam maszynopisanie.

Pozostawiona własnemu losowi, z miesięczną jedynie rentą wynoszącą zł 1.032 m., zwracam się do Sz. Redakcji z prośbą o łaskawe zamieszczenie niniejszego na łamach pisma. Może ktoś z czytelników pomoże mi zaofiarowując odpowiednią pracę.

W zakończeniu łączę wyrazy poważania

J. W.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Jest rzeczą złą, że zapomina się dziś często o podstawowej roli rolnictwa w strukturze gospodarczej naszego kraju. A szczególnie jest źle, gdy zapomina o tym autor artykułu wstępnego tak poczytnego pisma, jak „Dziś i Jutro". Zrobił to p. M. Kurzyna w artykule „Polska Prawda Wrocławia" (tyg. „Dziś i Jutro" Nr 32 (141) pisząc „...struktura przemysłowa... jedynie... może gwarantować nasze istnienie na terenie międzynarodowym, jako siły gospodarczej, a tym samym politycznej". Należy tu miast „...jedynie..." napisać „...obok rolniczej...". Polski przemysł mimo wszystkich zakładów przemysłowych Ziem Odzyskanych jest jeszcze wciąż mały i nie może konkurować z żadnym z potężnych przemysłów innych państw. Jest więc zrozumiałe dlaczego nie możemy się oprzeć tylko na nim.

Trzeba zdać sobie jasno sprawę, że w budowaniu siły gospodarczej Polski wielką rolę odgrywa rolnictwo i leśnictwo. Potwierdzają to fakty podane przez autora w tym samym artykule i tak pisze on: Ziemie Odzyskane stanowiły dla Niemców ośrodek produkcji rolnej, 63% Polaków mieszka na wsi, i co szczególnie mocno trzeba podkreślić, **zagranica żywo interesuje się naszym eksportem rolniczym.** Dodajmy do tego, że i Polska Centralna to kraj przede wszystkim rolniczy, że mamy nienajgorsze ziemie i że posiadamy starą tradycję kraju rolniczego, a dojdziemy do prostego wniosku: praca chłopa w większym, a co najmniej w takim samym stopniu jak praca robotnika buduje naszą siłę ekonomiczną.

Dlatego zwracając większą uwagę na pióro nie mączmy i tak już dość mętnych pojęć o naszej gospodarce.

Sądzę również, że odpowiada „zamówieniu społecznemu" fachowe omówienie tego tematu na łamach, któregokolwiek z pism katolickich w rodzaju tyg. „Dziś i Jutro".

Pozostaję z wielkim szacunkiem dla działalności Redakcji.

J. Łazowski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytelnicy moich fragmentów powstańczych, zamieszczanych w „Dziś i Jutro" coraz częściej zapytują mnie o swoich najbliższych. Na niektóre zapytania nie mam możności dać odpowiedzi. Wobec tego starym zwyczajem zwracam się do czytelników. Myślę, że i tym razem nie odmówi Pan miejsca w swoim piśmie.

Pan **Jan Kulik**, W-wa, Kacza 7 — zapytuje o swojego syna Czesława, pseudonim „Ryszard", starszy strzelec, ur. 1.II.1928. Walczył na Woli w pierwszych dniach sierpnia w zgrupowaniu kpt. Ostoi, w kompanii por. Lausa. Po przejściu zgrupowania do staromiejskiej dzielnicy ślad o nim zaginął.

Pan **Janusz Paszyński, Poznań, Prądzyńskiego 48 m. 7** — zapytuje o sanitariuszkę Janinę. Przebywała do dnia 25 sierpnia w szpitalu w rejonie ul. Pańskiej i Komitetowej. Należała do batalionu „Chrobry".

Pan **Ludwik Żurek, Warszawa, Kuźnicza 28 m. 6** — Fort Mokotowski, zapytuję o powstańca „Romana" (Roman Żurek), walczącego w kompanii „Zemsta", batalion „Pięść". Około 20 sierpnia został ranny i przeniesiony do szpitala.

Wanda i Aleksander Lesiszowie, W-wa - Żoliborz, Promyka 11 — poszukują swojej córki Danuty Wandy, pseudonim „Dusia", ur. 9.VII.1924 r. Zaginęła 2 sierpnia 1944 r. na ul. Kredytowej 12 m. 1. razem z Ulą Piwnicką, Marysią Lipską i Haliną i Ireną Szurowskimi. Cała ta piątka wyszła 2 sierpnia z tej kamienicy i odtąd ślad po nich zaginął.

Pani **Anna Łuniewska, Warszawa, Nowogrodzka 32** — zapytuje o swoich dwóch synów: Edwarda, pseudonim „Odwet", urodzony 1923 roku i Zygmunta, pseudonim „Andrzej", urodzony 1925. Obaj walczyli w oddziale por. Ryszarda Pilarskiego, (o którym też nie ma wiadomości) na Ochocie, w rejonie ulicy Kaliskiej. Następnie dołączyli do oddziału por. Gustawa, a później wieść o nich zaginęła. Matka prosi towarzyszy broni o wiadomości.

Pan dr **Michał Żabczyński**, Warszawa, Filtrowa 62 m. 34 zapytuje o swojego syna Józefa, (pseudonimu nie zna), urodzonego 27 stycznia 1928 roku. Walczył na Żoliborzu, w zgrupowaniu **„Żmija".**

Ostatni raz widziano go po 8 września na ulicy Słowackiego. Rodzice proszą towarzyszy broni o wiadomości.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Stanisław Podlewski

JASNE KSIĄŻKI

W ostatnich dniach lipca wszystkim uczestnikom klubu Jasnych Książek rozesłany został Komunikat I powiadamiający o ukazaniu się pierwszej z zapowiedzianych sześciu książek. Jest to powieść współczesna Wł. J. Grabskiego pt. KONFESJONAŁ, powieść dwutomowa licząca pięćset kilkadziesiąt stron dużego formatu w trójbarwnej okładce projektu artysty grafika Jana Knothe.

Przed wojną w pierwszej połowie roku 1939 ukazała się w ówczesnych Jasnych Książkach powieść tegoż autora pt. „W cieniu kolegiaty". Utwór wywołał tak żywy oddźwięk czytelników, że po szybkim wyczerpaniu się nakładu wydawcy zasypywani byli aż do wybuchu wojny żądaniami wznowienia książki a także pytaniami, czy autor nie zamierza przedstawić dalszych losów swego głównego bardzo zaciekawiającego bohatera — kleryka Sadoka Górskiego.

KONFESJONAŁ, choć jest utworem samoistnym, kompletnym, jest też poniekąd spełnieniem tych życzeń.

Grabski przedstawia w nowej powieści losy już księdza Sadoka w pierwszych najciekawszych momentach zetknięcia się z pracą duszpasterską wśród wirów i błądzeń ludzkiej społeczności, a następnie wśród zawieruchy wojennej. Daje wnikliwy przekrój społeczeństwa po przez wszystkie jego warstwy i przeprowadza swego bohatera przez szereg kolizji z ludzką miernością, przewrotnością ,a nawet zbrodnią, ukazując równocześnie nieoczekiwane nieraz głębie poświęcenia i dobroci serca istot pozornie upośledzonych.

Cena księgarska KONFESJONAŁU (obu tomów łącznie) wynosi zł 870. Dla członków klubu Jasne Książki wyniesie ona tylko zł 580 — już z przesyłką pocztową.

Przypominamy, że w dalszym ciągu Redakcja nasza przyjmuje zgłoszenia swych czytelników na Jasne Książki, przez co zgłaszający nie zobowiązuje się do żadnych przedpłat ani terminów. Według jedynego zasadniczego warunku korzystania z Jasnych Książek można nabyć pierwszą książkę i na niej poprzestać, nie można jednak nabyć drugiej, ani trzeciej, ani czwartej bez nabycia tej pierwszej.

Drugą z kolei Jasną Książką będzie jednotomowa powieść historyczna Zofii Zawiszanki PRZEDZIWNY WÓDZ, o św. Joannie d'Arc z bardzo pięknymi drzeworytami prof. E. Kuczyńskiego. Ukaże się ona w druku w pierwszej połowie września.

WNĘTRZE I WYSTAWA

SP. z O. O.

PLAC GRZYBOWSKI 2. • WARSZAWA

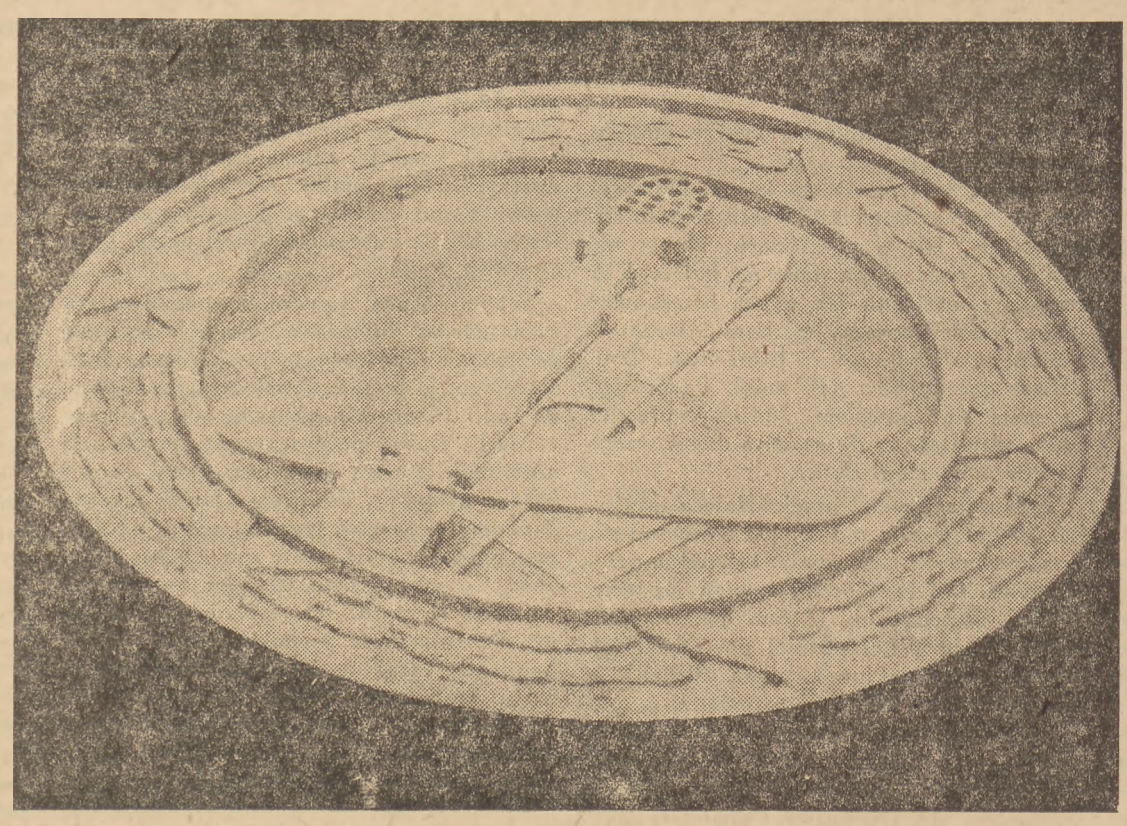

Dekoracja jednego ze słupów Hali Ludowej na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W wieńcu liści laurowych mikrofon, paleta malarska i książka. Całość obrazuje KULTURĘ DLA MAS. Emblemat wykonany z lekkiej konstrukcji drewnianej obitej dyktą ma średnicę 8 metrów. Cała dekoracja Hali Ludowej projektu inż. arch. Jana Polińskiego, została wykonana w czasie 9-ciu dni przez firmę „WNĘTRZE I WYSTAWA"

„Powrót"

(dokończenie ze str. 8-ej)

nownie rozczarowaniem miłosnym wygląda nieco śmiesznie, ale śmiesznych ludzi pełno jest na świecie, który wcale nie z tego powodu jest taki zły jaki jest. Zresztą... mamy do czynienia z komedią. Wszystkie chyba akcenty tak przez autorów pomyślanej sylwetki wydobył bardzo trafnie, inteligentnie i naturalnie pan Janusz Dziewoński.

Postać Coletty łączy się już nieco ze specyficznym klimatem komedii francuskiej w ogóle. Nie mógłbym się zgodzić, że przypomina ona w czymkolwiek naszą „Żabusię". Colette nie jest naiwna. Colette nie potrafi tylko (może także wskutek wojny, w której zapomniała o swej kobiecości) radzić sobie z dość skomplikowanym życiem, która chwilami podbiega do ognia, ale zdaje sobie sprawę z tego, że ten ogień parzy, która w pewnym momencie okazuje się gorszą od „Żabusi" upierając się zostać przy złem, wiedząc, że to jest złe, ale która tym szczerzej i tym serdeczniej wkracza na drogę właściwą w momencie, kiedy ona uwalnia się przed oczyma z mgły niewiedzy. I znowu Hanna Bielska. Niestety (szkoda, szkoda) tym razem nie tak dobra jak zwykle. Zaczęło się od złej charakteryzacji. W akcie pierwszym (trudnym zresztą do wygrania, bo najsłabiej napisanym) dużo niezdecydowania, braku ekspresji. Trzeba było się zastanowić czy oczekiwanie męża wynika z miłości, czy też tylko z ciekawości podniecanej ambicją. Po powzięciu jednej z tych dwóch decyzji poszłoby łatwiej. Bielska w kilku momentach pokazała swoje istotne możliwości, zwłaszcza w kłótni z mężem, zwłaszcza w scenie z Marcelim kiedy Baltazar opowiada o Marokko.

O innych postaciach nie ma co wspominać. Trzeba natomiast mówić o aktorach. P. Ryszard Kierczyński doskonały w pierwszej części, zawiódł nieco jako mąż szukający... męża dla własnej żony. Zarzut motywuję tym, iż nową rolę przyjął on na siebie zbyt serio, podczas kiedy autorom chodziło zdaje się raczej o to, by Vaudiere powiedział coś w rodzaju słów do jednego z przedwojennych tang: „proszę, spróbuj, przekonaj się... ja mam czas, ja poczekam".

P. Wanda Chądzyńska dobrze uzupełniała podstawowy kwintet komedii.

Największe zastrzeżenia mam pod adresem p. Ryszarda Piekarskiego, którego sposób cedzenia słów przez zęby, z rozrywaniem tych słów na sylaby dla zaakcentowania swego zdenerwowania, niepewności, zażenowania, nieśmiałości i t. p. działa naprawdę na nerwy, tym bardziej, że staje się to maniera. Młody aktor ma jeszcze czas na maniery. Jedynie scena z Jakubem (akt IV) wypadła zupełnie poprawnie, może nawet lepiej niż poprawnie. Okazuje się, że p. Piekarskiemu lepiej odpowiada żywioł niż sentyment.

Reżyseria p. Wronckiego sprawna. Zwłaszcza (po raz pierwszy chyba w M. T. D.) udane jest to, co się dzieje za sceną (proszę się nie śmiać — to bardzo ważne) t. zn. awantura u tancerki z sąsiedztwa (świetny dowcip: nie tańczy w operze, skądże, jeszcze przecież nie ma 60-ciu lat — wprawdzie Bittnerówna też lat 60-ciu nie ma, ale dowcip się udał).

Jan Hawryłkiewicz uplasował cały zespół w całkiem przyjemnych wnętrzach. Na zakończenie pretensje do... programu. Jak akcja może się rozgrywać „współcześnie" (tak napisano) skoro przekładu dokonał... Włodzimierz Perzyński? Słowo: współcześnie ma wprawdzie dużą elastyczność, ale ze względu na 2-gą wojnę warto było zmienić tekst orginału na: tuż po pierwszej wojnie światowej, która, nawiasem mówiąc, trwała lat tylko 4 nie sześć.

Mieczysław Markowski

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE"

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Hórodyński i Mieczysław Kurzyna.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-67-53